



## TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

### PRENUMERATA „PRAWDY”

(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnośnieniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres Redakcyi i Administracyi  
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

**TREŚĆ:** Jeden z wielu p. J. A. — Szczerza spowiedź. — Głodowa pożyczka, nowella, p. Sewera. — Leopolitana XI. (dokończenie) p. Juniusa. — Chrystus przed Pilatem p. M. O. — Ze świata mikrobów (Badania Pasteura) p. Br. Ab. — Wyniki filozoficzne fizyki współczesnej II. p. J. J. T. — Malarstwo p. S. K. — W sprawie hipotek włościańskich list Wł. Nowakowskiego. — Liberum veto. — W Perspektywie p. St. — Tydzień polityczny — Kronika bieżąca. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia.

Od 1-go lipca r. b. redakcyja „Prawdy” mieści się przy ulicy Włodzimierskiej (róg Ś-to-Krzyskiej), w domu W-go Walfisza pod nr. 2.

### JEDEN Z WIELU.

„We Francyi, Włoszech, a nawet w Niemczech — mówi w artykule o Piusie IX znakomity ekonomista francuski A. Leroy-Beaulieu — byli ludzie szlachetni, cnotliwi i zdolni, księża i świeccy, którzy marzyli o pojednaniu wiary katolickiej ze swobodami publicznymi... Dzień, w którym Pius IX został papieżem, wydał im się przedświtem tryumfu. Nikt z katolików XIX w. nie okazywał tyle gorliwości dla wiary, dla stolicy Piotra, dla zachwianego tronu papieskiego; a jednak poświęcenie to nie zdołało im zjednać względów Piusa. Papież, którego wielbili, od którego tak wiele oczekiwali, wyparł się ich i wyrzekł, nazwał ich biczem bożym. Przeworniejsi i praktyczniejsi musieli zamilknąć lub odwołać swe szlachetne błędy...”

Oto właśnie liczbę tych naiwnych marzycieli, pragnących pogodzić kościół katolicki a raczej papieństwo z zasadniczymi wymaganiami cywilizacyi, pomnożył świeżo znany ksiądz włoski O. Curci. Buntownik ten nie pierwszy raz podnosi głowę przeciwko papieskiej wszechwładzy. Jeszcze za Piusa IX kuł on miecz, którym teraz publicznie machnął i którym mu natychmiast wytracono z ręki. *Nowe Włochy i starzy fanatycy* — taki tytuł nosi jego praca, która stanawszy w pokutniczej koszuli przed drzwiami Watykanu, nie wyprosiła sobie przebaczenia, lecz potępiona stać będzie wiecznie pod pręgierzem indeksu *Librorum prohibitorum*. I jakież to zdrożności złożył

w nią autor? Czy może posunął się do szyderstw i bezbożnych twierdzeń Gassendego, Rabelais'ego, Kollataja, Staszycza?

Podstawę książki Curciego stanowi myśl, że kościół katolicki, skutkiem przedawnionych i dziś nieprawomocnych roszczeń papieństwa, stanął w rozbracie z cywilizacją i znowożytnymi formami ustroju państwowego; że zatem powinien przedewszystkiem zrzec się władzy i celów świeckich. Dziś Watykan, według Curciego, zmusza wiernych do wyboru między ojczyzną i kościołem, gdyż dwie te dziedziny nie zachodzą na siebie wzajemnie a nawet często rozgraniczają się przepaścią. Kościół winien stać się instytucją narodową i wyłącznie religijną, religia nie powinna przeciwstawiać się dobru narodu i okazania się interesami świeckimi. Reformacya ocaliła chrześcijaństwo, tylko reformy mogą je również ocalić dzisiaj.

Te kółka oliwy pływają na wodzie obszernego dzieła, poświęconego głównie sprawom włoskim.

Jeżeli wpatrzymy się uważnie w jego treść, to rzucona nań kłątwa wyda nam się ze stanowiska sądu watykańskiego zupełnie konsekwentną. Właściwie bowiem Curci zanosi do papieża pokorną prośbę, ażeby ten kopnął nogą swój tron i zasiadł na prostej ławie pierwszych apostołów. Gdyby Leon XIII spełnił wszystkie jego życzenia, przestałby być papieżem i został jednym z biskupów włoskich, który to los rzeczywiście, jeśli nie jego, to jego następców nie minie, ale dziś przez wszechwładcę kościoła pożądanym nie jest. Zburzyć ten gmach, nad którego wzniesieniem pracowały wieki, niełatwo i nieprzyjemnie, zwłaszcza dla jego kopuły. Czyż można wymagać od słabego człowieka tej siły, ażeby pewnego dnia rzekł do świata: poprzednik mój popełnił głupstwo, nie pogodziwszy się z utratą władzy świeckiej i na-

dawszy sobie tytuł nieomyślności; ja monarchą być nie chcę, omylnym jestem, patriotą włoskim być pragnę, nigdzie rzucać kościół w walkę z państwem nie myślę a sumienie katolików zagranicznych powierzam pieczy ich miejscowych przewodników. Papież sam tego nie uczyni; czy go wyręczą wypadki?

Od lat kilkudziesięciu odzywają się ciągle, i to w łonie katolicyzmu, nawoływania do reformy kościoła. Obok imion Montalamberta, Lacordaire'a, Gratrego, zapisały się nazwiska O. Jacka i Curciego. Ludziom tym nie brakło odwagi, wyłomy twierdzy, na którą uderzali, ułatwiali im walkę, a jednakże jej nie zburzyli. Dla czego? Dla tego, że w uczuciach i przekonaniach mas nie znaleźli dość materiału wybuchowego, zapomocą którego mogliby wysadzić ją w powietrze. Curci stałby się nowym Lutrem, gdyby Europa była starą, gdyby sprawy religijne zdołały ją wstrząsnąć. Dziś wulkan ten jeszcze się dymi, ale przestał już wyrzucać lawę. Świat, mimo swej religijności, zubożniał na spory o nią i zaledwie tu i owdzie silnie zadrażniony odeprze zbyt gwałtowny nacisk. Według naszego przekonania rewolucya religijna jest dziś niemożliwą. To też jeśli papieństwo ma stracić grunt obecny, nie straci go skutkiem wielkiej burzy, posianej ręką natchnionego reformatora, ale skutkiem powolnego stygnięcia uczuć doń przywiązanych. Pomalu, bez wstrząśnień, bez starć krwawych, papieństwo pozostanie odosobnioną skałą, oblaną morzem żywiołów mu obcych, wysepką, na którą się schronią i dogorywać będą przez świat nieuznane, ale też, jako bezsilne, przez nikogo nie atakowane roszczenia w swojej średniowiecznej, piusowej postaci. „Najważniejszym zadaniem naszego wieku — powiada wspomniany wyżej uczony — jest niewątpliwie pogodzenie ducha chrześcijańskiego z du-

chem nowożytnym, dopasowanie wiary religijnej do nowych warunków cywilizacji, do liberalizmu, demokracji i swobodnych badań naukowych. Rozwiązanie tego zadania utrudnił bardzo katolikom Pius IX. To też do wielu przeszkód i niebezpieczeństw naszego wieku dołączyła się jeszcze jedna przeszkoda i niebezpieczeństwo — przyczyna niższości i niemocy narodów, czerpiących z Rzymu religijny swój pokarm. Ultramontanizm nadał katolicyzmowi charakter sekty, stronnictwa, kasty; najświętszy związek społeczeństw ludzkich zamienił na łańcuch nienawiści. Powaga ewangelii, pragnącej zjednoczyć wszystkie klasy i wszystkie stany, została naruszona, a często zniszczona w tych właśnie warstwach społecznych, które najwięcej potrzebowały jej nauki i pociechy. Pontyfikat Piusa IX przyczynił się do tego.

Komu tylko, nawet w łonie wiernych, fanatyzm nie zaćmił oczu, ten dostrzega, że średniowieczny gmach się wali, że go nieobezwładnione kłębami fale cywilizacji ciągle podrywają. Strwożeni, jak właśnie Curci, wołają ratunku i może ujęliby chorągiew reformacyjną w swe dłonie, gdyby tylko byli pewni, że za nimi pójdzie, jak kiedyś, liczna drużyna. Nie znajdując jej, korzą się przed wszechwładną nieomylnością i odwołują ustami swe „błędy.“

Z tych względów książki Curciego nie uważamy za hasło walki i odszczepieństwa, lecz za nieśmiałe zdradzenie się tego nurtu, który w łonie katolicyzmu dawno płynie i Watykan podmywa. Jak wiele tego rodzaju głosów, i ten zamilknie; nie zamilknie tylko głuche pragnienie powrotu do prawdziwych, pierwotnych zasad chrześcijaństwa, będące głównym tętnem obecnego prądu reformacyjnego w katolicyzmie. Europa chce oczyścić się z narostów ultramontańskich i zostać znowu chrześcijańską, ale prawdziwie chrześcijańską. J. A.

## SZCZERA SPOWIEDŹ.

Tygodnik nasz, o ile mu krótkie istnienie na to pozwalało, wykazywał ciągle szkody, jakie kolo galicyjskie ponosiło od ścisłego, zbyt ścisłego związku z prawicą sejmową — żywiołami, które umyslowo i społecznie pragnęłyby cofnąć cywilizację po za kres największego jej umiarkowania. Pomoc tych żywiołów w walce narodowościowej oraz solidarność koła polskiego w Wiedniu, wymuszająca od wszystkich jego członków jedynomyślność, wreszcie, powiedzmy prawdę, liczne w niem pierwiastki pokrewne ultramontanom i feodałom tłumili wszelki objaw niezależnych przekonań. Mimo to wszakże kilku posłów polskich próbowało przełamać i przełamywało na chwilę żelazną obręcz prawicy. Znaną jest sprawa tak zwanych secesjonistów, (Hausner, Wolski, Skrzyński), którzy rozpięli samodzielnie swe skrzydła, ażeby je tem prędzej i potulniej złożyć. Od tego czasu niema, albo półsłówkowa opozycja nie ustawała. Gdy posłowie polscy, niepobratani z prawicą, nie mogli objawić zdań swoich w Radzie Państwa, odsłaniali je przynajmniej w kraju, gdzie już samodzielność nie ulegała ani tak wielkiemu przymusowi, ani tak ostrym za odstępstwo zarzutom. Taką właśnie szczerą spowiedź wysłuchał Lwów od posła Wolskiego. Składając wraz ze Smolką sprawę przed wyborcami ze swych działań na sejmie, rzekł on mniej więcej te słowa: Polacy nie roztopili się w prawicy sejmu, gdyż posłannictwem ich jest wyrównywanie sprzeczności między obiema stronami Izby i utworzenie liberalnej partii środkowej. Nadewszystko (tak zwane) stronnictwo prawa i jego ultramontańscy przewodnicy występują z niemożliwymi do spełnienia żądaniami i poprostu inne odłamy sejmu

terroryzują. Główna wina niepomysłnych stosunków w parlamencie ciąży na partii klerykalnej, wywołującej coraz większe niezadowolenie. I poiaci nie są wolni od zarzutu, że pozwalają się terroryzować partii prawa. Nadszedł wszakże dla nich czas uwolnienia się od tego wpływu i związania się ze skłonnymi do zgody żywiołami lewicy. W końcu Wolski nadmieniał, że często musiał głosować z większością wbrew swemu przekonaniu.

Ujawnienie tych stosunków było koniecznym wobec tych oskarżeń, jakie popyły się w prasie niemieckiej na galicyan za ich służbę u partii wstecznej. Zastwardziały konserwatyzm stał się dziś jednoznaczniakiem polskości, a niestety, do tego spokrewnienia dwu pojęć zagraniczni bracia nasi pomagają sami zbyt często. Ileż razy widzimy ich po stronie najwsteczniejszych wniosków! To też poseł Wolski zrobił uczciwie, wyparłszy się przynajmniej w kraju, przed wyborcami, tego sojuszu, który z nakazu utrzymywać musi w sejmie. Protest ten był potrzebny naprzód dla sumienia liberalnych posłów polskich a powtóre dla zdmuchnięcia tej zatechłej mgły, która spowinęła w oczach świata kolo galicyjskie.

Rzucona przez Wolskiego myśl nowej partii liberalnej z polaków i przyjaznych pierwiastków lewicy jest bardzo szczęśliwą, jeżeli tylko posiada warunki bezpiecznego urzeczywistnienia. Nie znamy dokładnie lewej strony Izby, nie możemy więc rozstrzygać, czy ona posiada dziś odpowiedni materiał do takiego związku; zaznaczymy tylko, że gdyby galicyanom udało się wejść w przymierze z takim stronnictwem, któreby uszanowało ich interesy narodowe a jednocześnie nie przeniewierzało się zasadom liberalnym, mogliby oni z tego stosunku wyciągnąć bardzo poważne korzyści. Dotąd, niewątpliwie, wygrywali dużo na interesach politycznych, ale

## GŁODOWA POŻYCZKA

NOWELLA  
Sewera.

### I.

Już dobrze zaciągnęło się na jesień, liście na drzewach poczerwieniały i żółkły, dużo z nich wiatr rozgonił po drogach i polach. Biała pajęczyna okryła błonia i niby haft, dziergany złotem, świeciła się od promieni słońca.

Bociany odleciały, za nimi krzyki z błot. Widziano gęsi. Długim łańcuchem mknęły tak nisko, że słyhać było szelest skrzydeł, bijących o fale powietrza, co ma zapowiadać zimę wczesną, a długą.

Patrzała na ten łańcuch Jagielina i szelest skrzydeł słyszała, i głową smutnie wstrząsała, westchnęła i znowu co żywo do chaty biegła.

— Chłopu łońskiego roku się zmarło — skarżyła się sama przed sobą — i zostawił mnie sierotą z pięciorgiem dzieci, przy jednej mordze gruntu. Cichy był, ohotny do pracy, — ni to pijak, ni to jaki zbereznik. Latem pracował kosą i sierpem, zimą płótnianki i gorsety sył. Gros grosa gonął i nie dziw, pięcioro drobiazgu nakarmić; ale jakoś głodu nie było. Na morgu siałam len, sadziłam ziemniaki — trochę buraków dla krowy, jęciemienia na kasę i

zagon kapusty... Zyta na chlebuś trza było kupić! Ale co tam, kiedy były ziemniaki. Chlebuś był od święta i dobrze było. Na kominie chrust się palił, dzieci się grzały, — chłop spiewał i igłą wywijał, ciągnąc długą nić. Ziemniaki piekły się w popiele, krowa przy ścianie to sapnęła, to se legła, abo wstała — i dobrze było. A już najlepiej gdy tatuś podjadłszy se ziuru, zaczął dzieciom bajki opowiadać.

Słuchałam i ja — szepnęła. Chłopa choć do rany przyłóż. I posełł za drugimi na sąd boski, choć młody był i zdrów.

Turkot bryczki zagłuszył wspomnienia wdowy i matki pięciorga dzieci, wracającej od roboty z bryłką kupionej soli.

Brycka stanęła przed chatą. Kobieta drgnęła ze strachu, coś ją w piersiach zagmiotło, isć nie mogła, oparła się o wierzbę stojącą przy drodze.

— Panienko przenajświętsza, ratujże mnie. Brycka przed chatą sierot — to nic ino nieścęście. A cóżby innego?... Pan przecie nie zajędzie.

Zebrała siły i wolno, nieśmiało szła, jakby umyślnie chciała odwlec spotkanie ze swą dolą.

Na środku izby stał pan Zureczyński sekwestrator prywatny, wysoki, młody, o wystających kościach policzkowych i grubych, wywinionych ustach, gęstych brwiach i białkach ocz, poprzecinanych różowymi żyłkami, co go czyniło nieco podobnym do psa puszczonego z łańcucha. Powtarzam nieco, aby zbytecznie nie narazić się damom z miasta Gąsiorowa, które są zdania,

że pan sekwestrator prywatny jest „przystöjnym mężczyzną,“ albowiem ma czarne, gęste włosy, rozdzielone na przedzie, i pierścionki na palcach.

Tuż przy panu sekwestratorze prywatnym stał Wątorok, wielki jego faworyt, a radny gminy Zalesia. Z nim tylko pan sekwestrator jeździł i choć okropnie na niego krzyczał, wiedzieli ludzie, że go lubiał.

Jagielina weszła nieśmiało do izby.

— Płacisz pożyczkę głodową — wrzasnął przybyły swoim zwyczajem, aby odrazu przerazić kobietę.

— Zapłacona — zawołała, zalewając się łzami. — Bóg świadkiem, że mój ją odniósł.

— A gdzie to ten twój? — spytał pan sekwestrator.

— Pomarł — odpowiedział cicho z tajemniczym uśmiechem Wątorok.

— Przysięgnę, że zapłacił, sprzedałam na wiosnę prosiaka, pieniądze zabrał i odniósł. — Zwróciwszy się do Wątoroka, dodała: Wy o tem najlepiej wiecie.

— Ty się kobieto mną nie świadc — odpowiedział radny — bo gdybyście zapłacili, to byście mieli kwit — i już.

— A przecie powiedzieliście nieboscykowi, że papieru na kwit nie macie; zeście do księgi zapisali; ze on i wy jesteście żywi. O mój Boże, mój Boże, cóż ja teraz sierota z dziećmi pocnę.

— Ha, ha — zaśmiał się pan sekwestrator prywatny — każde z nich płaci, ale w karczmie za wódkę.

tracili tyleż na społecznych i umysłowych. Każdą zdobycz oplacali stratami cywilizacyjnymi. Gdyby ta zamiana potrwała dłużej, Galicya zachowałaby swą polskość, ale ujrzałaby się dziką i zrujnowaną. Nie podzielały też zupełnie wiary w prawię, którą jednocześnie z Wolskim objawił swym wyborcom Smolka. Jest on za zbyt politykiem, ażeby mógł należycie rozumieć istotne i trwałe korzyści narodu.

Gdyby nie ten dziwny chaos, który wicherzy pojęcia prasy galicyjskiej, mogłaby ona (o ile pragnie być liberalną) popierać dążenia tego charakteru posłów. Na nieszczęście nie znajdują oni ani w niej, ani w społeczeństwie żadnej pomocy, żadnej osłony w walce. Wyborcy zgodzą się na program postępowy, uraczą swego delegata okrzykami, ale gdy on zrobi jeden krok w kierunku swego programu, wszystkie go opuszczają, zakrzyczą, zniesławiają — „sterroryzują.“ Galicya cieszy się niewymownie, gdy jej złotousty Hausner wyostrzy sobie język na skórze niemieckiej; ale gdy tenże Hausner nie zaoferuje swego głosu jakiemś wstecznemu wnioskowi do wspólki z prawią, zdziera z jego czoła wawrzynowy i wkłada cierniony wieniec.

Bądź co bądź, szczerza spowiedź Wolskiego jest objawem bardzo pocieszającym.

## LEOPOLITANA.

### XI.

(Dokończenie).

Wychodzący pod godłem *fide ac veritate* dwutygodnik ultramontański, *Przegląd lwowski* jest organem zakrystyjnej tromtadracyi i stara się wszczepić w umysły naszego duchowieństwa veulotowskie kwasy paryskiego *Univers'a*. Ażeby scharakteryzować to pismo, dość będzie przytoczyć

Ja cię nauczę kłamać i wpierać w urzędnika gminy. Bierz — zawołał na Wątor-ka, pokazując ręką poduszkę.

Wątor-ek, czając się jak kot, podszedł na palcach do łóżka, ujął za róg poduszkę i szarpnął nią mocno.

W łóżku spało dwoje dzieci, głowy ich podskoczyły w górę i spadły na twardą słomę.

Widok ten zabawił pana sekwestratora prywatnego, i dlatego się rozśmiał. Za nim z samej kurtuazyi śmiał się i Wątor-ek, biorąc pod pachę poduszkę.

Przebudzone dzieci zaczęły płakać.

— A bójcie się Boga ludzie, co wy robicie — wołała zrozpaczona kobieta. Na rany Chrystusa jedną, jedną poduszcynę miałam i tej nie darujecie — a jakże wy się nie boicie pomsty...

— Cicho wrzasnął sekwestrator — bo ja z ciebie protokół spiszę — rozumiesz? Oni chcą, żebym tu tygodniami siedział, czekał i czas dla nich marnował. Ruszaj — krzyknął na Wątor-ka.

— A pamiętajcie, żebyście się pospieszyli i zapłacili, bo źle będzie — odezwał się słodko Wątor-ek wychodząc.

— Przecie za poduszkę każden zyd da siedem papierków — zawołała łamiąc ręce Jagielina.

— Płać — krzyknął pan Zureczyński — to sekwestrator nie będzie przyjeżdżał, a nie chcesz płacić, to musisz go żywić.

— A toć zapłaciłam papierka — odpowiedziała.

Pan Zureczyński rozśmiał się, kopnął no-

epigraf, zamieszczony na pierwszej stronie każdego zeszytu, a pouczający nas, iż zadaniem *Przeglądu lwowskiego* jest „ścierać i druzgotać liberalizm nowożytny, a w szczególności ów jego odcień, który się moderantyzmem zowie.“ Zadanie to usiłował spełniać niegdyś *Przegląd* z zaciekłością Arbuezów i Torquemadów, a przewrotnością Escobarów, przeklinając nowożytny postęp i naukę, a mierząc równą miarą nienawiści Darwina, Häckla i — Abakanowicza. Obelżywy sposób pisania, którym się posługiwał w swych polemikach, będących rzeczywistymi drukowanymi burdami ulicznymi, zjednał jego redaktorowi ks. Edwardowi Podolskiemu przykrojony według średniowiecznego zwyczaju tytuł: *Sanctus Pater Grobianus apostolicus*, nadany mu w wychodzącym podówczas *Chochliku*. Pomnikowym w swoim rodzaju był spór redaktora *Przeglądu lwowskiego* z redaktorem pism ludowych: *Wieniec i Pszczółka*, ks. Stanisławem Stojałowskim, — prawdziwa walka Tytanów, w której obaj zapaśnicy nie zostawili na sobie suchej nitki, a której koniec dopiero położyła surowa nagana wyższej duchownej władzy. Od czasu tego, a więcej jeszcze od chwili, gdy panujący katolickiemu światu papież objawił w znanej swej encyklice bardziej pojednawcze dążenia, ostygł *Przegląd* w swej torquemadowskiej werwie i jest dziś, jak na ultramontańskie pismo, dość przyzwoicie redagowaną publikacją. Wyrozumiałość jego obecna dla nauki nie sięga wprawdzie po za granice scholastycznej filozofii św. Tomasza z Akwinu; nie mniej jednakże nadają mu prace ks. ks. Polkowskiego i Załęskiego pewną wartość literacką i naukową, która to pismo tem szkodliwszem czyni, ile że, jak wiemy, zadaniem *Przeglądu* jest wierzyć przeciw oświeceniu i stać prawdziwemu postępowi i prawdziwej oświacie na drodze.

Niemniej ciekawym, acz na przeciwle-

gą drzwi i wyszedł; za nim Wątor-ek z poduszką pod pachą.

Poduszka poszła na dno bryczki do towarzystwa kilku innych. Koła zaturkotały na twardej drodze, kobieta została z załamanymi rękami na środku izby.

Troje wystraszonych dzieci, dzwoniąc zębami, wysunęło się z za pieca. Dwie dziewczynki w spodniczkach boso i chłopiec dwunastoletni.

— Matsiu, konwisarz nie wróć — pytały niespokojnie.

— Pewno wróć — odpowiedziała — zalewając się łzami.

Dzieci skoczyły do pieca.

— Nie dziś, nie dziś — tłumaczyła matka, a nie mogąc się zżalu na nogach utrzymać, zsunęła się na ławę. Dzieci przybiegły do niej. Młodsza Marysia wdrapawszy się na ławkę, głaskała matkę po twarzy, obejmowała małemi rękami, tuląc jej głowę do siebie.

— Nie płacie, bo jakby chcieli jeseć wleść, to drzwi pozapieramy — chwalił się Antoś.

— Nazbieraliśmy patyków — opowiadała Jagusia.

— Patrzcie ino, — wołał Antoś, pokazując patyki złożone przy kominie — jakcie ci grube.

— A suche — dodała Jagusia.

— Ulinkę i Jasia zimno okrutnie strzęsło, bez to tak śpią — szczebiotała stojąca na ławie Marysia.

Zerwała się kobieta, poskoczyła do śpią-

głym biegunie stojącym Tartuffe'nsą, *Strażnica polska* i *Sztandar polski*, będące właściwie jednym (sic verba veniunt!) pismem, wychodzącym co dwa tygodnie na przemian, pod redakcją p. Jana Nepomucena z Oleksowa Gniewosza. Pisma te pozuja na tromtadratycznego Atta-Trolla; aliści attatrolizm ten fałszywym jest, a prawdziwymi są tylko wstrętne zabłocone kudy, tudzież *verminizm*, zamilowany w wywlekaniu brudów i wszelkiej nieczystości. Zdarza się czasami, że grzebiąc w naszym społecznym śmietniku *Strażnica* lub *Sztandar* wywloką na jaw zdrożność jakąś rzeczową, wymagającą chłosty lub naprawy. Ale działalność ich i tutaj szkodliwa jest; wystarcza bowiem, by pisma te, znane z tego, iż służą tylko reklamie i kalumnii, podniosły jakąś rzecz, chociażby najpożyteczniejszą, aby sprawa ta rzeczniectwem owem skompromitowana, została bezpowrotnie pogrzebaną.

Przy tym rozczochranym Atta-Trollu wygląda rewolwerowy towarzysz jego *Dziennik dla wszystkich* — będący właściwie dwutygodnikiem — jak Adonis prawdziwy. Pismo to, uprawiające literaturę, sztukę i — reklamę dla męskiego i żeńskiego obuwia, tradni się dziwnego rodzaju przemyślem. Jest nim wyzyskiwanie próżności ludzkiej, której służy *Dziennik dla wszystkich*, zamieszczając na pierwszej stronie kontrefekt jakiejś nieznannej, a rozgłosu pragnącej znakomitości. Gdy idzie o wydanie numeru, co nawiasem mówiąc zprzeczyny braku funduszków i kredytu pewne dla wydawnictwa przedstawia trudności — udaje się agent pisma z gotowym już rysunkiem do upatrzonego wprzódy *medium* i hypnotyzuje go, przedstawiając mu korzyści, jakie w ten sposób uwiecznionemu przynieść może umieszczenie jego portretu w tej improwizowanej Walhalli, lub też odwołując się wprost „do obowiązku popierania narodowego piśmiennictwa.“ Po

ych dzieci, przykładając rękę do ich twarzy. Gorące były jak węgiel.

— Nie macie teraz moje biedajstwo na cem główki oprzeć!

— Matsiu pić się chce okrutnie. Dajcie ino ociupinkę wody, — prosił się przebudzony sześćoiletni Jaś.

Kobiecie znów z oczu trysnęły łzy.

— Nie płacie moja matuš, skrzepnę ja ci zobacycie, ino ociupinkę wody. Pocałował matkę w rękę.

Leżąca przy Jasiu Ulinka westchnęła, oczy otworzyła, przewróciła się z boku na bok, rękę podłożyła pod twarz i zasnęła.

Wody przyniosła w garnuszką Jagusia. Chłopiec pił z rozkoszą, chciwie i długo, — uśmiechnął się, obtarł usta rękawem, wsparł głowę o poręcz łóżka, patrzył przed siebie i milczał. Matka go pocałowała głaszcząc.

— Pewno dziś wiecerzy nie będzie — odezwała się cicho Jagusia. Ha, to chodźmy matsiu spać, może jako i prześpiemy głód — prawda? Patyki zostaną do zgotowania śniadania.

Marysia zaczęła cicho płakać. Antoś, przestępywał zwolna z nogi na nogę smutny i zamysłony. Jesć mu się okrutnie chciało, lecz nie śmiał się skarżyć wobec leż i strapienia matki.

— Będziecie jadły, będziecie — pocieszała dzieci matka.

(Dalszy ciąg nastąpi).

takiem *caordium* przechodzi agent *in medias res* i nakłada na kandydata do nieśmiertelności haracz, którego wysokość stosuje się do majątku, społecznego stanowiska i mniejszej lub większej wrażliwości zahypnotyzowanego pacyenta. Zdarza się przytem często, że przyczyny „od wydawnictwa niezawisłe“ jak n. p. zepsucie się rysunku, pęknięcie litograficznego kamienia i t. d. zmuszają ajenta do ponownej hypnotyzacji, celem wydobywania nowego katafoniom; zdarza się często, że pacyent jak potulna owieczka poddaje się tym eksperymentom; zdarza się jednak także, iż pacyent uprze się jak kozioł w kapuscie. Wtedy następują groźby, że się posiada pewne kompromitujące papiery, że się wie o pewnych familijnych brudach, i zaczyna funkcyonować rewolwer, który jednakże dziwnym jakimś trafem nie zaprowadził dotąd jeszcze *Dziennika dla wszystkich* przed sądowe kratki. Cokolwiekby, przyznać trzeba pismu temu, którego redaktorem jest p. M. D. Chamski, *alias* Dzikowski, że się w *Dzienniku dla wszystkich* często pojawiają wcale rozsądne recenzje teatralne, stojące o całe niebo wyżej od recenzji teatralnych niezależnych pism codziennych i *Tygodnia*; że w tem piśmie znaleźć można od czasu do czasu artykułik, noszący na sobie piętno istotnego talentu, że około redakcyi tej grupuje się kółko początkujących pisarzy. Objaw w każdym razie dziwny wielce! Żadne bowiem z pism naszych nie może wykazać przychówku nowych sił piśmienniczych.

Nierównie wyżej od tej *petite presse* nadpęktwiańskiej stoją oba nasze prowincjonalne dzienniki: *Gazeta stanisławowska* i *San* przemyski, które najzupełniej odpowiadają swemu zadaniu. Mianowicie odznacza się *San*, zostający pod redakcyą p. Gamskiego, wybornymi artykułami treści społecznej, pisanymi ze znajomością rzeczy a pewną młodzieńczą werwą, z którą rzadko się spotkać można w naszej prasie. O wychodzącym w Kołomyi ruskiem, a lacińskimi czcionkami drukowanym *Swille*, jakoteż o żydowskiej, po polsku redagowanej *Ojczyźnie*, czynię tu jeno wzmiankę; pisma te, jak się zdaje, najlepszymi ożywione chęciami, powstały dopiero w ostatnim miesiącu i nie wyrobiły sobie jeszcze klienteli, z którego też powodu sądzić dziś jeszcze nie można o wpływie ich na umysły. Tak samo pomijam tutaj milezieniem wszelkie pisma fachowe, jak np. *Szkole*, *Kosmos*, *Dźwignię* i t. d. raz dlatego, że będą miał sposobność mówić o nich innym razem, mianowicie zdając sprawę z czynności stowarzyszeń, których czasopisma te są organami, a powtóre dlatego, iż publikacye te, uprawiając tylko zakres swój specjalny i będąc tylko dla pewnych kół przeznaczony, nie wywierają tak szerokiego i ogólnego wpływu na ruch umysłowy w naszej dzielnicy. Przemileżec tu jednak nie mogę czasopiśmiennictwa ludowego, którego niwa zupełnie odlogiem leży, pomimo iż lud wiejski, nawet rusiński upomina się o to, by pola tego nie zaniedbywano. Jak z ust pewnych słyszałem, udawało się już kilka gmin wiejskich ruskich do krajowego marszałka z zapytaniem: dla czego, gdy im tyle rusińskich narzucają ga-

zet, nikt im polskiej nie pisze gazety? Mamy tutaj wprawdzie *Wieniec* i *Pszczołkę* (redaktor ks. Stojałowski) oraz *Chate* (redaktor p. B. Kalicki); te jednak karmią swych czytelników tylko legendami i żywotami świętych, nie odpowiadają potrzebom tego ludu, który dziś się już domaga bardziej pożywnego pokarmu. Wychodzi we Lwowie również *Przyjaciel domowy*, wraz z połączoną z tym dwutygodnikiem *Gazetą wiejską* (redaktor p. B. Zamorski) ale i ta publikacya plawi się w mglistych regionach wysokiej polityki, a spuszcza z oka tę świętą ziemię, którą lud nasz jedynie kocha i rozumie!

Junius.

## CHRYSTUS PRZED PIŁATEM.

Paryż, 23 czerwca.

Przed kilku dniami liczne grono wielbicieli Munkaczego wyprawilo mu sutą ucztę w obszernych salach Hotel Continental. Powodem do tej fety było, że obraz węgierskiego artysty, *Chrystus przed Piłatem*, uznany w Paryżu za arcydzieło, wyjeżdża do Anglii, a następnie do Ameryki. W powrocie z za Oceanu na on także odwiedzić Warszawę. Ten szereg przyszedł jego marszruty, rzeczywista obrazu wartość i inne jeszcze względy, które niebawem wskażę, pobudzają mnie do szczegółowego nad nim zastanowienia się. Towarzystwo, w salach Hotel Continental zebrane, było co się zowie międzynarodowem, chociaż ilość francuzów przeważała. Z polaków znajdował się Antokolski, o nieartystach bowiem mileżę. Pierwszą mowę, swobodną, wesołą i grzeczną wypowiedział hr. Beust, ambasador austriacki w Paryżu; było w niej dosyć i dowcipu i nawet zrzęznego szyderstwa. Po kilku kadzidłach spalonych dla Francyi i Paryża przeszedł do malarzów austriackich, w liczbie których naturalnie Makart i Matejko pierwsze zajęli miejsce. Rozrzewniony Munkaczy dziękował w wyrazach pełnych zapału i ognia, a największa doza zachwytów, słów wdzięczności i uznania dostała się Francyi, która nie tylko jest, podług niego, prawdziwie artystyczną, ale bez porównania więcej aniżeli inne kraje gościnną. Roznamiętnieni francuzi jednogłośnie do odpowiedzi zavezwali Bretona, malarza i poetę zarazem. Ten, zamiast mowy, wycisnął na policzkach Munkaczego serdeczny pocałunek i to było hasłem do uścisków i do padania wzajem w ramiona bez końca.

Zwróćmy się jednak do obrazu. Pomiedzy tysiącami miernot, jakie się w ostatnim salonie paryskim zjawily, zapewne *Chrystus przed Piłatem* był najznakomitszym objawem, chociaż nie arcydziełem. Sciągnięto doń tłumy zrzęcznie odegraną komedyą. Dzienniki ogłosiły, że nieprzyjęty obraz Munkaczego, bo się spóźnił. Opóźnienie to było umyślne. Wiemy z najlepszego źródła, że Munkaczy nie mogąc dla swego utworu wyjednać sali oddzielnej, umyślnie się ociągał, a kiedy salon obrazu jego nie przyjął, wystawił go na widok publiczny na ulicy de la Rochefoucauld. Wystawę urządzono tak, że lepszych warunków wymagać niepodobna. Światło z góry, przyćmione odpowiadającą kolorytowi zasłoną, podnosiło wrażenie, a wypukłe zwierciadło naprzeciw umieszczone wykazywało perspektywę—jedną z najpiękniejszych zalet obrazu. Miękkie kobierce i tajemnicze w sali wgłębienie robiły z przybytku tego prawdziwą świątynię sztuki. Obraz sam wszakże dziełem skończonym nie jest. Jestto szkic dopiero i niewiadomo, co będzie z niego jeszcze po kompletnem wy-

kończeniu. Tymczasem zaś uderza w oczy znakomita charakterystyka zebranych osób, ugrupowanie i pełen wyrazistości koloryt. Szczególniej kilku członków Sanhedrynu, żołdak ze straży i między współstwem kobieta z dzieckiem na ręku są znakomitej wartości. Śród wielkich wszakże zalet odrazu dostrzegamy wybitne wady. Naprzód osoba Chrystusa znikła wobec Pilata, który wygląda na olbrzyma. Twarz Jezusa wyraża tyle nienawiści, tyle zaciętości i tajonego gniewu, że żadną miarą z pojęciem mesyasza pogodzić się nie da. Może Renan, obecny na bankiecie, zwrócił uwagę na tę niestosowność, chociaż zachował się mileżąco. Inną, większą daleko wadą jest zupełne zaniedbanie rysunku. Sądzimy, że największemu mistrzowi nie wolno malować figury, której podniesiona ręka gdzieś ze środka żeber wyrasta, nie wolno olbrzymowi Pilatowi dawać głowy jak makówka i mieć ręce, które rozłożone, niżej kolan dostać by musiały.

Tyle zaznaczam z oddali. Resztę dopatrzyć w obrazie sami, gdy go obejrzyście zbliska.

M. O.

## Ze świata mikrobów.

(Badania Pasteura).

Powietrze, ziemia, woda, słowem wszystko, co nas otacza, przepelnione jest niezliczonymi rojami istotek żyjących, tak drobnych, że ich dostrzedz nie możemy. Wszędzie unoszą się miriady organizmów, widzialnych zaledwie przy użyciu potężnych szkieł mikroskopowych. Dlatego też przez długie wieki świat ten nie był zupełnie nieznanym, i nie domyślano się nawet, jak potężną odgrywa on rolę w ogólnem gospodarstwie przyrody. Dziś z dniem każdym przybywają dowody, że właściwie, wszystko, co żyje, co się rozmnaża, co ginie, jest w ciągłej zależności od tego mikrokosmu. Mieszka się on do najpospolitszych spraw naszego życia i znajdujemy go niemal wszędzie.

Gdy występuje jako żywioł nieprzyjazny, walka z nim trudna i niebezpieczna. Jakżeż bowiem waleczyć z nieprzyjacielem drobniejszym od ostrza najcięższej igły, nieuchwytnym, wszędzie się przeciskającym, o życiu zamkniętem w tak małym cieple a jednak tak wytrzymałym, że się opiera znacznemu ciepłu i zimnu, a często nawet wpływowi ciał trujących inne organizmy.

Najgorszy to wróg, gdyż roznosi poświecie choroby zaraźliwe, jak to oddawna przypuszczano, a co zostało obecnie licznymi doświadczeniami stwierdzone. Najniebezpieczniejszy, bo nie było dotąd prób dokładnego zbadania i poznania. Osobniki tego świata są tak małe, że nawet mikroskop może nam dać o nich tylko ogólne pojęcie. Przy znacznem powiększeniu wyglądają one jak małe cieniutkie laseczki lub innego kształtu komórki, raz ożywione szybkim ruchem, to znów nieruchome, rozmnażające się z niesłychaną szybkością przez podziałkowanie, albo też za pomocą t. zw. sporów, które są niezem innym, jak tylko jajami, rodzącymi następne pokolenia.

Świat ten istot najmniejszych przedstawia niezwykle trudności dla badania, a jednak mimo to dziś już zasłona przykrywająca tajemnicę została zdarta, przynajmniej częściowo, i zajrzano głębiej wewnątrz nieznanego kraja.

Nauki przyrodnicze idą teraz tak szybkim krokiem, że niewiele lat czekać trzeba będzie na to, aby tajemnica została całkowicie rozjaśniona. Učení mają pod ręką coraz potężniejsze środki badania, instrumenty ulepszają się z każdym dniem pra-

wie, ogół nauk łączy się w jedną całość, liczba pracowników zwiększa się niepospolicie, więc też zdobywają ze wszystkich stron i oświecają ciemne dziedziny przyrody.

Na polu badań świata, złożonego z istot żyjących najmniejszych, wielkie zasługi położył Pasteur i imię jego zostanie na zawsze związane z historią tej gałęzi wiedzy. Po długoletnich poszukiwaniach, zaczyna on dochodzić obecnie doniezwykle ważnych rezultatów, odbijających się głośnym echem w całym cywilizowanym świecie. Ostatnie jego odkrycia, dotyczące się chorób zaraźliwych, stanowiąc będą epokę w historii rozwoju przyrodniczej wiedzy naszego wieku; otworzyły bowiem zupełnie nowe i nieznane pola a zastosowania ich praktyczne odbiły się prawdziwymi dobrodziejstwami dla ludzkości.

Już od lat wielu Pasteur obrał najdrobniejsze istoty żyjące na ziemi za ulubiony przedmiot swych poszukiwań i od dawna ogłaszał rezultaty niezwykle doniosłości. Z początku ukazywały się one w mniejszych odstępach czasu, obecnie jedne gonią za drugimi, jedne cenniejsze od drugich.

Jakkolwiek prace lat ostatnich były roznoszone po świecie przez dzienniki i dość dobrze są znane tym, którzy zajmują się postępem nauk przyrodniczych, pozwolimy sobie jednak zestawić w ogólnych rysach kilka dawniejszych odkryć, aby potem jaszkrawiej i dobitniej wykazać doniosłość prac obecnych.

Jakkolwiek świat istot najdrobniejszych, o którym mowa, składa się z niezwykle wielkiej ilości odmian, posiadających najróżnorodniejsze własności, rozwijających się w sposób odmienny, to jednak, dla uniknięcia ciągłych powtarzań i wylizania szczegółów, Pasteur zgodził się na ogólne nazwanie go światem *mikrobów*.

Mikrob więc jestto nazwa ogólna, a gatunki określamy, dodając do tej nazwy miejsce ich istnienia, a więc mikrob karbunkulowy, mikrob wściekliczny, cholery kurzej i t. p.

Jeśli kto ma mikroskop dobry pod ręką, to może bardzo łatwo przyjrzeć się niezliczonym rojom tych żyjątek. Dość jest parę dni położyć na świeżem powietrzu kawałek surowego mięsa i czekać aż się psuć zacznie. Wziąwszy wtedy na szkiełko mikroskopu odrobinę cieczy z tego mięsa już gnijącego, znajdziemy tam bez liku ruchliwych przedstawicieli świata mikrobów.

A żeby się przekonać o ich niezwykle rozpowszechnieniu, łatwo zrobić następujące doświadczenie. Zebrać trochę sliny z dziąseł własnych, zeszkrobać ją paznokciem z zębów i położywszy naszkielku mikroskopowem, rozprowadzić czystą wodą. Zobaczymy, że i tam znajdziemy dość liczne mikroby, szczególnie jeśli byliśmy na czczo.

Zresztą pospolicie znanem jest i inne doświadczenie, które wskutek częstych wzmianek i późniejszych licznych zastosowań, stało się klasycznym. Wystawmy przez parę dni na powietrzu jakikolwiek płyn pochodzenia organicznego, np. odwarzsięna lub mięsa. Po pewnym czasie z przejrzystego staje się mętnym, a gdy jego krople obejrzymy pod mikroskopem, to spostrzeżemy niezliczone mikroby. Płyn fermentuje, gnije, rozkłada się, a ponieważ, jak Pasteur wykazał, nie może to nastąpić bez udziału mikrobów, rozkład zaś taki wszędzie i na każdym miejscu występuje, więc mamy dowód wszechobecności tych sprawców rozkładu. Mikroby czyhają tylko na to, aby znaleźć sobie odpowiednio przygotowane ciało, dające im dobre warunki pokarmu i rozmnażania się.

Inaczej dawniej myślano, gdy nie były tak dobrze jak dzisiaj znane. Wielu, poważnych nawet badaczy, twierdziło, iż powstają one w ciałach podległych gniciu

przez t. zw. *samorództwo*. Powiadali, że w pewnych warunkach sprzyjających z materii nieożywionej, ale pochodzenia organicznego, powstać mogą istotki obdarzone życiem. Wysnuły się też w swoim czasie gorące o to spory, zaostrzone niezwykle cierpką przyprawą polemiczną. Czytelnicy *Prawdy* przypomniać może sobie owe walki namiętne, staczone przed kilku laty między Pasteurem, przeciwnikiem, a d-r'em Bastianem, angielskim uczonym, zwolennikiem samorództwa.

Z walk tych Pasteur wyszedł zwycięzcą i wykazał za pomocą znakomitych i subtelnych doświadczeń, że jeśli uchronimy płyny organiczne, nawet najłatwiej ulegające gniciu, przed zakradzeniem się mikrobów z powietrza, albo ich zarodków, jeśli przytem do doświadczenia użyjemy płynu, z którego wszelkie zarodki zostały stanowczo usunięte, to wtedy płyn ów może być przechowywany bez zepsucia przez czas zupełnie nieograniczony.

Rezultat to niezmiernie ważny. Dowiadujemy się bowiem, że mikroby nie powstają wskutek gnicia, lecz same je spowodowują, są jego czynnikami.

Póki ciało organiczne obdarzone jest życiem, póty się opiera samodzielnie mikrobom. Po śmierci następuje ich panowanie. Rozmnażają się w trupie z bajeczną szybkością, zacierają do każdej drobiny jego ciała, zabierają z tych drobin niewiele od nich mniejszych to, co im do życia jest potrzebnem, spowodowują w ten sposób gwałtowne chemiczne zmiany. Zaczyna się przemiana materii, coraz bardziej ożywiona. Ciało rozpada się na prostsze i stalsze połączenia chemiczne, wchodzące napowrót w ogólny obieg materii, do dalszych związków i połączeń.

Gdyby można było trupy zabezpieczyć od napadu mikrobów, to leżałyby one bez rozkładu aż do skończenia świata.

Podobnemi do zjawisk gnicia są zjawiska fermentacyi. Przemiany tylko są tu mniej gwałtowne i stanowcze. W wielu wypadkach dowiedziono, że i fermentacya (np. cukrowa) powstaje przez czynne włączenie się specjalnego gatunku mikrobów, które zmieniają układ molekularny fermentującego płynu, zabierając z drobin tlen potrzebny do ich spraw życiowych.

Podobieństwo przebiegu wielu chorób do przebiegu fermentacyi i gnicia oddawna już uderzało lekarzy i przyrodników. Niejednokrotnie w chorem ciele powstają zupełnie pokrewne przemiany. Temperatura się podnosi, cieczy organiczne zmieniają swój skład chemiczny, powstają nowe a niepotrzebne połączenia. Gdy poznano udział mikrobów przy fermentacyach i gniciu, zaczęto ich oczywiście szukać także przy chorobach, mających charakter podobny; i rzeczywiście, w wielu wypadkach, odnaleziono we krwi, w wydzielinach chorobliwych te istotki, nie zdolano jednak dokładnie wyjaśnić ich roli i wykazać w jaki właściwie sposób działają.

Podobieństwo między fermentacyami a niektórymi chorobami staje się jeszcze bardziej widocznem, gdyż te ostatnie łatwo się przenoszą z jednej osoby na drugą. Jak bowiem do wprowadzenia w fermentację zupełnie czystego płynu wystarcza mała kropla fermentu, tak samo odrobina wydzieliny chorego na zarazę człowieka lub też zwierzęcia, zaszczipiona na zdrowym ciele, wystarcza do spowodowania gwałtownych skutków choroby.

Wyszukanie roli, jaką w takich razach mikroby odgrywają, stało się obecnie wyłącznym przedmiotem poszukiwań Pasteura.

Już sama, niedowiedziona niczem hipoteza o udziale mikrobów w przejawach chorobliwych wydała skuteczne w medycynie owoce. Mamy tu na myśli sposób opatrywania ran i warunki, w których operacje odbywać się winny, podane przez prof. Listera z Edynburga. Słynny ten le-

karz otrzymał za swą metodę wielką nagrodą paryskiej Akademii.

Gdy robimy operację na chorym osobniku, gdy rany wystawione są na powietrze, zarodki mikrobów, unoszące się w atmosferze, z łatwością w tych ranach się zagnieżdżają i spowodowują ropienie oraz dalsze fatalne następstwa. Gdyby można było usunąć mikroby, leczenie byłoby łatwiejszem i rany mniej niebezpiecznemi. Trudno utrzymać w stanie zupełnej czystości otaczające powietrze, więc trzeba było użyć innego środka. Lister wpadł na pomysł trucia mikrobów za pomocą kwasu karbolowego, który dla tych małych istotek jest stanowczo śmiertelnym. Otaczają więc chorego parami karbolowemi, operatorowie przemycają sobie w rozpuszczonym kwasie ręce i instrumenty chirurgiczne, moczą bandarze, słowem truciznę na mikroby zapuszczają wszędzie. Metoda ta okazała się tak znakomitą w rezultatach, że dziś jest powszechnie używaną.

Ze część zasługi w tem ważnym odkryciu należy się Pasteurovi, tego dowodzi najlepiej list Listera do francuskiego badacza, napisany po utrzymaniu nagrody, w którym jemu przypisuje moralne pierwszeństwo.

Nie możemy się na tem miejscu wdawać w szczegółowe opisywanie wszystkich faz badań Pasteura, aż do ostatnich czasów. Wspomniemy tylko mimochodem o niezmiernie ważnych odkryciach w dziedzinie fermentacyi, w zbadaniu chorób jedwabników i t. p. Rzeczy to zresztą obecnie już powszechnie znane i znajdujące się niemal we wszystkich podręcznikach naukowych, traktujących o tym przedmiocie.

Przejdziemy wprost do rezultatów otrzymanych w paru latach ostatnich, bo one właściwie doprowadziły do najważniejszych praktycznych zastosowań.

W całym tym szeregu poszukiwań epokę stanowi zbadanie istoty pewnej choroby kur, zwanej *kurzą cholera*. Jestto jedna z najstraszniejszych plag niszczących ptactwo domowe. Dółknięte nią ptaki giną w niewielu godzinach. Pasteur odkrył we krwi kur cholerycznych niezliczone mnóstwo mikrobów. Żeby je bliżej poznać zaczął je hodować w odosobnieniu od kury. Kroplę krwi z zarażonego zwierzęcia wpuścił do naczynia z zupełnie czystym bulionem i zostawił je na powietrzu, zabezpieczając od zakradzenia się zarodków innych mikrobów, tak łatwo wszędzie się wiskających. Mikroby ze krwi kurzej rozmnożyły się z szaloną szybkością i bulion był przepelniony ich rojami, co można było sprawdzić pod mikroskopem. Zresztą i wygląd cieczy się zmienił. Z klarownego bulion stał się mętnym. Kropla takiej cieczy, zaszczipiona na zdrowej kurze, spowodowała nieuchronnie cholera, z pewnością 100 na 100.

Wtedy Pasteur doszedł do wniosku, że wyhodowane przez niego mikroby są istotnymi czynnikami i roznosicielami zarazy. A ponieważ otrzymał sztucznie nowe pokolenia, które mogą zarażać, więc zdolność spowodowania choroby przypisać należy samemu mikrobom, a nie innemu wynikowi.

Żeby się o tem jeszcze bardziej przekonać, rozpoczął dalsze hodowanie. Kroplę z pierwszego naczynia z bulionem zarażonym wlał do drugiego naczynia z czystym i czekał nowych pokoleń. Następnie przeszedł do naczynia trzeciego i tak dalej. Z niewielu mikrobów, dobytých z ciała chorej kury, potworzyły się nadzwyczaj odległe pokolenia a tak liczne, że o ich mnogości nie możemy sobie nawet wyrobić pojęcia. Mikroby cholery kurzej rozmnażają się nadzwyczaj szybko i nadzwyczaj łatwo. Każdy okaz rozpada się na części tworzące zaraz samodzielne organizmy, rozmnażające się dalej tym samym sposobem. W pierwszej szklance już miano milionowe pokolenia, a cóż dopiero w dziesiątej i na-

stępnych! Okazało się, że ciecze, ze wszystkich szklanek wzięta, była zaraźliwa, lecz że zaraźliwość ta słabła w miarę oddalania się do dalszych pokoleń. Nareszcie doszło się do takiego osłabienia, że szczepienie nie sprowadzało lecz śmierci, jedynie tylko lekkie przypadłości choroby, i kury zdrowiały.

Fakt ten doprowadził do odkrycia ze wszystkich najważniejszego.

Gdy kura, po zaszczepieniu osłabionego przez długie hodowanie zarazku, wyzdrowiała, wtedy nie można już było jej zarażać, nawet krwią z chorej na cholere innej kury. Ciało jej stało się stanowczo opornem przeciw przyjęciu zarazy. A była to rzecz nie przypadkowa, gdyż wszystkie liczne doświadczenia najdoskonalej się udawały.

Odkrycie to ważne zostało przyjęte z wielkim zajęciem przez świat uczony i wszędzie zaczęto robić podobnego rodzaju poszukiwania, starając się odnaleźć takie same warunki w innych wypadkach chorobliwych. Szczególniej szkoły weterynaryjne we Francji zaczęły się eksperymentalnie tą sprawą zajmować. Nastąpiły liczne odkrycia, które w obecnej chwili coraz szybszym krokiem naprzód postępują.

Wielce interesującym jest zbadanie strasznej choroby psów zwanej wścieklizną. I tu Pasteur znalazł w ślinie mikroby, które hodowane następnie, jak przy kurzej cholere, okazały się czynnikami sprowadzającymi niechybnie cholere.

Mikroby odkryte we wściekłych zwierzętach mają kształt ósemki. Są to ciała zwężone w środku, które na pierwszy rzut oka poznać można. Rozmnażają się one wybornie w cieczach organicznych i potem zaszczepione wywołują przypadłości wścieklizny. Pasteur przeprowadzał z nimi rozmaitego rodzaju doświadczenia, szczepił na różnego gatunku zwierzętach i otrzymał różne skutki.

Tutaj nadmienić musimy, że w poszukiwaniach swych używa on do pomocy dwóch młodych współpracowników pp. Chamberland i Roux, wytrwale i z poświęceniem oddających się tym badaniom, które, jak każdy łatwo ocenić może, nie należą do najbezpieczniejszych.

Przy badaniu wścieklizny wykryto potwierdzenie faktu interesującego, którego istnienie było oddawna podejrzawanem, jednak bez dowodów stanowczo potwierdzających. Z ruchów zwierząt podległych wściekliznie i z kilku innych zewnętrznych objawów, wywnioskował p. Galtier, że głównym siedliskiem zarazku są prawdopodobnie centralne organy nerwowe, a więc mózg, mózdzek i przedłużony mlec pacierzowy. Żeby się o tem przekonać, Pasteur poddał te części, wydobyte z głowy wściekłego zwierzęcia, badaniu mikroskopowemu i znalazł, że mikroby, o których wyżej była mowa, gnieździły się tam w niezliczonej ilości.

Gdy potem próbował zarazek wścieklizny zaszczepić zamiast pod skórę, wprost do mózgu zdrowego zwierzęcia, występowały stanowcze objawy choroby, a co ważniejsze, pojawiała się ona daleko wcześniej, aniżeli to zwykle ma miejsce. Okres wyłęgania się zarazy został znacznie skrócony.

Najdrobniejsze cząstki mózgu wściekłego psa okazywały zawsze potężną zdolność zarażania.

Badania nad wścieklizną nie doprowadziły jeszcze do ostatecznych rezultatów; są one w toku i sądzimy, że niedługo będziemy w stanie podać obszerniejsze o nich sprawozdanie.

Próby szczepienia, które wydały tak świetne skutki przy kurzej cholere, doprowadziły do wyników jeszcze ważniejszych, gdy je zastosowywać zaczęto przy badaniu choroby, zwanej karbunkulem. Choroba ta jest jedną z najstraszniejszych

plag gospodarskich, rok rocznie zabierającą ogromne ofiary między baranami, kozami i koźmi.

Dawno już odkryto u zwierząt karbunkulem zarażonych mikroby specjalne, którym dano nazwę bakterydj karbunkulowych. Podejrzewano, że one grają najczynniejszą rolę przy tej zarazie, lecz nie miano na to dostatecznych dowodów. I tu także Pasteurowi należy się zaszczyt dokładnego zbadania, opisanie choroby, a co najważniejsza, znalezienia skutecznych środków ochronnych.

Metoda, używana przy badaniu, była taką, jak i przy kurzej cholere. Z chorego zwierzęcia brało się mikroby i rozmnażało je w cieczach organicznego pochodzenia jak np. odwarze mięsny, odwarze siana, i t. p. aż do bardzo odległych pokoleń.

Lecz natrafiono tu na fakt odmienny. Nie było sposobu osłabić mikroby przez najdalej idące rozmnażanie. Zawsze kropla płynu, wzięta z ostatniego naczynia, w którym robiono uprawę, i zaszczepiona na zdrowym zwierzęciu, sprowadzała chorobę w jej formie ostrej i niebezpiecznej.

Przekonano się, że pochodzi to stąd, iż mikroby karbunkulowe inaczej się rozmnażają, niż te, które towarzyszą kurzej cholere. Tam nowe pokolenia powstają przez podziałowanie, tutaj za pomocą sporów, które pod dobrym mikroskopem widzieć można wewnątrz ciała mikrobu jako małe punkciki. Otóż spory te są nadzwyczaj wytrzymałe i zachowują ciągle swą jadowitość.

Lecz i z tą przeszkodą umiano sobie poradzić. Użyto w tym celu podniesienia temperatury; okazało się bowiem, że jeśli mikroby karbunkulowe hodować będziemy w temperaturze od 42 do 45 stopni Celsjusza, wtedy nie wydają one wealesporów i po długim trzymaniu na powietrzu, stają się tak osłabione, że je na zdrowych zwierzętach szczepić można, bez obawy złych skutków.

Wtedy rozpoczęto liczne próby szczepienia, które doprowadziły do rezultatów najznakomitszych z całego szeregu badań, o których wyżej mowa.

Okazało się, że osobniki, którym zaszczepiono osłabione mikroby karbunkulowe, opierały się następnie stanowczo przyjęciu tej zarazy. Liczne próby, prowadzone przez Pasteura i jego współpracowników, pp. Chamberland i Roux, dały wyśmienite rezultaty. Jednak doświadczeń tych laboratoryjnych nie przyjęto ze zbyt wielkim zaufaniem i trzeba było zrobić próby publiczne na wielką skalę.

Zdarzyła się po temu znakomita sposobność.

W miesiącu kwietniu b. r. Towarzystwo Rolnicze w Melun zaproponowało Pasteurowi zrobienie doświadczenia rozstrzygającego i w tym celu podało od siebie projekt urządzenia prób na większej ilości bydła. Umówiono się co do warunków, które Pasteur przyjął, i podpisano następującą umowę:

1-o. Towarzystwo Rolnicze w Melun daje do rozporządzenia p. Pasteura 60 sztuk baranów i owiec.

2-o. Dziesięć sztuk zostanie, przez cały ciąg prób, bez poddawania jakiegokolwiek badań operacyi.

3-o. 25 sztuk otrzyma dwa szczepienia osłabionego zarazku w odstępach dni 12 do 14.

4-o. Tych 25 sztuk, razem z 25 pozostałymi, otrzyma we 12 — 14 dni potem zaszczepienie zarazku w całej jego mocy.

25 baranów, którym nie szczepiono osłabionego zarazku, zdechnie co do jednego. Reszta wyzdrowieje i będzie porównywana z 10 baranami nienaruszonymi, aby wykazać, że szczepienia nie przeszkadzają wcale do powrotu, do stanu normalnego.

Inne punkty programu dotyczą prób, które się mają później odbyć nad rozmno-

żeniem zarazy z trupów zagrzebanych w ziemi.

Trzeba przyznać, że ustępy tego programu są bardzo śmiałe, skutkiem nadziei w nich wyrażonych, i że niepowodzenie mogło być bardzo nieprzyjemnem. To też Pasteur dodaje w *Sprawozdaniach Akademii*, że „program ten miał proroczą śmiałość, którą jedynie tylko świetne powodzenie mogło usprawiedliwić. Wiele osób byłoby tak grzecznych, że zwróciło na to moją uwagę, robiąc zarzut nieroztropności naukowej. W każdym razie Akademia zechce zrozumieć, żeśmy nie podpisali takiego programu, bez posiadania silnych punktów oporu w poprzedzających doświadczeniach, chociaż żadne z nich nie miało tak szerokiego zakresu. Los zresztą popiera umysły przygotowane, i tak właśnie, zdaje mi się, rozumieć należy natchnione słowa poety: *Audaces fortuna juvat.*“

5-go maja przystąpiono do prób. Zaszczepiono osłabiony zarazek wszystkim okazom przez program wyliczonym. Potem dnia 17-go powtórzono jeszcze raz tę samą operacyę.

Nareszcie wszystkie zwierzęta, w programie wskazane, poddane były zarażeniu zarazkiem zupełnie jadowitym w dniu 31-go maja, i postanowiono zebrać się przy zwierzętach dnia 2-go czerwca, aby się przyjrzyć ostatecznym wynikom. Zostawiono więc 48 godzin na rozwój prawdziwej choroby karbunkulowej.

Tutaj oddajemy znowu głos Pasteurowi. „Dnia 2-go czerwca rezultaty wprowadziły w zdumienie wszystkich obecnych. 24 barany, jedna koza oraz 6 krów, którym poprzednio zaszczepiono osłabiony zarazek, miały wszystkie pozory zdrowia; przeciwnie, 21 baranów i koza, które nie podlegały szczepieniu, już zdechły od karbunkulu; dwa barany zdechły w oczach widzów, a ostatni skończył swój żywot tegoż samego dnia wieczorem.“

Z krów żadna nie zdechła, ale te, które miały szczepienie, były zupełnie zdrowe, gdy tymczasem inne znajdowały się w stanie obawy wzbudzających.

W dalszym ciągu powiada Pasteur, iż „większa część weterynarzy, którzy się zjechali na próby, przyjęła z niedowierzaniem ogłoszenie rezultatów naszego programu. W rozmowach i w swoich dziennikach nie chcieli wierzyć w prawdziwość sztucznego przygotowania osłabionego zarazku cholery kur i karbunkulu. Obecnie stali się oni najgorętszymi apostołami nowej doktryny. Zaufanie jednego z nich, najbardziej z początku sceptycznego, doszło do takiego stopnia, że chciał, aby mu zaszczepiono zarazek osłabiony karbunkulowy. Jestto dobra wróżba. Będą oni apostołami szczepienia karbunkulu.“

Na zakończenie zaś dodaje, że „posiadamy obecnie zarazki do szczepienia karbunkulu, zabezpieczające od śmiertelnej choroby, same nigdy śmierci nie sprowadzające. Zarazki te żyją, dają się dowolnie hodować, przenosić bez zmian szkodliwych. Przygotowują się one bez zastosowania metody, która nadaje się, można w to wierzyć, do uogólnienia, albowiem była już, po raz pierwszy, stosowaną do cholery kurzej. Z powodu właśnie warunków tutaj wyliczonych, i zapatrując się li-tylko z punktu naukowego, odkrycie szczepienia karbunkulowego stanowi znaczny postęp w stosunku do szczepienia Jennera, ponieważ on nie otrzymał nigdy owych zarazków do szczepienia na drodze eksperymentalnej.“

W każdym razie, przyznać należy, że znajdujemy się wobec jednego z największych odkryć naszego stulecia.

Br. Ab.

## WYNIKI FILOZOFICZNE

## fizyki współczesnej.

## II.

Wykazując w dalszym ciągu swej pracy jakie stanowisko duchowi ludzkiemu naznacza dzisiejsza fizyka, p. Naville dochodzi do bardzo prostych wniosków.

1) Gdyby nie wysiłki woli, nie znalibyśmy głównych własności materji, rozciągłości i oporu; 2) gdyby nie wrażliwość, nie znalibyśmy własności drugorzędnych; 3) gdyby nie inteligencya, nie mielibyśmy nauki o materji. Tak więc dość jest zbadać warunki, w jakich powstaje nauka o ciałach, aby nabrać pojęcia o duchu w trzech jego przejawach: czynnie, uczuci i myśli.

Te proste zdania nie są ostatecznym wynikiem poglądów p. Naville'a, który wyprowadza z nich wszelkie możliwe konsekwencje. Wywód ten opiera się na surowej krytyce dawniejszych i dzisiejszych filozofów, co daje autorowi możność wypowiedzenia swych przekonań o stosunku ducha ludzkiego do materji, bez dania wszakże definicyi tych przedmiotów.

Zastanówmy się w krótkości nad głównymi zasadami rozumowań, które doprowadziły do przytoczonych wyżej trzech wniosków, którym za podstawę służyła myśl zasadnicza, że duch i materja są oddzielnymi bytami, związanymi ściśle z sobą.

Myśl tę wyprowadza Naville zarówno z obserwacji nad sobą samym, jak i z krytyki poglądów Leibnitz'a, Condillac'a i Lewesa, wraz z całą szkołą fizyologów materialistycznych.

Leibnitz, który w wielu rysach zgadzał się z Kartezjuszem, porzucił wreszcie teorię próżni i atomów, począł uważać świat za kombinację sił i utworzył pojęcie *monad*, którym przypisuje własności złożone w duszy naszej, a mianowicie *czułość* i *żądze*. Stawiać jednak taką teorię, znaczący obalać te słupy graniczne, które pomiędzy duchem i materją zatknął Descartes, gdyż konsekwencje takiego poglądu każą koniecznie ciałom martwym przypisywać własności psychiczne: czucia i pożądania. Niezależnie od teorii *monad*, Leibnitz podtrzymuje usilnie wybitną różnorodność ducha i organizmu ludzkiego, jest więc sam z sobą w niezgodzie.

Leibnitz więc błądzi, lecz i Descartes, zdaniem Naville'a, nie ma zupełnej racji, gdyż wyrażenie: „myślę — więc jestem“ a więc pojmowanie ducha jako czegoś (*chose*), co myśli w oderwaniu od wszelkiego poczucia ciał otaczających, jest w zupełnej niezgodzie z elementarnymi wiadomościami fizjologii o warunkach, w jakich myśl powstaje. Można więc twierdzić, że zarówno leibnitzowska metafizyka, jak i nowsza fizjologia uderzały wspólnie w słabe punkty kartezjańskiego systematu, skutkiem czego w umysłach wielu współczesnych uczonych powstał pogląd, na zasadzie którego spostrzegane przez nas materialne i duchowe czynniki zjawisk świata są tylko jednym i tym samym faktem, uważanym z dwu różnych stron.

Ten ostatni pogląd Naville uważa za trudny do zrozumienia, ze względu na olbrzymią różnicę pomiędzy objawami czysto fizjologicznymi i czysto psychicznymi; nie więc dziwnego, że zdania Lewesa, wyrzeczony w duchu jednorodności myśli z innymi zjawiskami życia, poddaje silnej krytyce, widząc w nich dualizm, podobnie jak w filozofii kartezjańskiej. Ponieważ zaś każda poważna filozofia winna być monizmem, więc należy ominąć trudności i niekonsekwencje rozmaitych szkół i systematów przez dokładne pojęcie stosunku ducha do zjawisk materialnych. Konieczność takiego ujednostajnienia pojęć jest nieodzowną, bo dualizm, na gruncie któ-

rego powstała fizyka (przystępując do każdego badania fizycznego, odosabniamy zjawisko od umysłu, który je bada — ducha od materji) coraz silniej się odywa i coraz więcej liczy zwolenników między najznakomitszymi przedstawicielami fizyki współczesnej. Za przykład tego mogą służyć słowa, które wyrzekł Du Bois-Reymond na zjeździe naturalistów w Lipsku. „W pewnej epoce rozwoju życia na kuli ziemskiej, w epoce, której daty nie znamy, a która nas teraz zupełnie nie obchodzi — stało się coś nowego i niespodziewanego w stosunkach życiowych, wystąpiło zjawisko równie niepodobne do pojęcia, jak istota materji i siły. Nie naszych pojęć o przyrodzie, sięgająca czasów nieskończenie odległych, zrywa się nagle, i oto stajemy wobec nowego zadania na krańcach naszej wiedzy. Tym nowym niezrozumiałym faktem jest *myśl*. Postaram się dowieść, jeśli zdołam, że nietylko obecny stan naszej wiedzy nie pozwala na wytlómaczenie *mysli* za pomocą materialnych zmian organizmu, na co zresztą wszyscy się dziś zgadzają, lecz że nigdy tej tajemnicy przyrody poznać nie będziemy wstanie. Zdanie przeciwnie, jakoby nie należało tracić nadziei, iż z czasem objaśnimy tworzenie się myśli przez zbadanie warunków jej powstawania, uważam za błąd, który mam właśnie zamiar obalić.

„Używając tutaj, równie jak i w dalszym ciągu wyrazu *myśl*, nie mam bynajmniej na uwadze jedynie tylko wyższych stopni działalności umysłowej. Przeciwnie, wraz z Descartes'em pod *myslą* pojmuję każdą działalność umysłową aż do najprostszych i, jeśli się tak wyrazić można, najniższych stopni skali myślenia. Aby dać przykład zjawiska, niedającego się objaśnić zapomocą materialnych przemian, nie należy sobie przedstawiać Jamesa Watta, wynajdującego swój równoległobok, lub Shakespeara, Raphaela i Mozarta, tworzących swe najsubtelniejsze arcydzieła. Podobnie jak najpotężniejsza działalność muskularna sprowadza się do skurczu pojedynczego włókna mięsnego, jak pojedyncza komórka wydzielająca zawiera w sobie całą tajemnicę sprawy wydzielania, tak samo najwyższa działalność umysłu nie jest wcale trudniejszą do wytłómaczenia od najprostszego jej przejawu t. j. czucia (*sensation*). Z chwila, kiedy w czasie tworzenia się na kuli ziemskiej zwierząt pierwszy organizm doznał uczucia przyjemności lub bólu, otworzyła się przed nami nowa niezmiernie nigdy głębia tajemnic, a świat otaczający stał się dla nas podwójnie niezrozumiałym.“

Tak więc, według berlińskiego profesora, nauka ma dwa punkty wyjścia: materję w ruchu i zjawiska psychiczne. Dwa te stanowiska są zupełnie różne i niezrozumiałe, jak wszystkie dane pierwotne.

Duch zatem przejawia się w poznawaniu materji, będącej przedmiotem studyów fizyki, jako podmiot, niedający się złączyć ze swym przedmiotem. To przejawianie się nie posiada jakiegoś ogólnego charakteru, lecz przeciwnie, każda własność ducha znajduje swój wyraz w pojęciach fizycznych. Nie łatwiejszego, jak dowieść, że tak jest w istocie. Zasadnicza własność materji, jej opór może być pojęty tylko przez tych, którzy mogą usiłować go przewyciężyć. W samym pojęciu oporu ściśle kryje dwa czynniki: *wysilek* i *przedmiot*. Mówiąc więc, że materję pojmujemy jako opór, uznajemy tem samem, że możność używania *woli* jest koniecznym warunkiem pojęcia materji, boć oporu nie pojmujemy, nie *usilując* go przewyciężyć a usilować nie można, nie używając ku temu *woli*.

Wartość tego rozumowania, stwierdzającego słuszność pierwszej tezy Naville'a, przytoczonej na początku tego artykułu, jest w oryginale poparta dowcipną krytyką angielskiego empiryzmu, który za punkt wyjścia bierze tezę Condillac'a, że jedynym zjawiskiem psychicznym, pierwotnym i nie

dającym się rozłożyć na czynniki, jest uczucie. Rozumie się, że w celu utrzymania swej tezy (o znaczeniu woli w poznawaniu materji) Naville musi krytykować pojęcie *czucia mięśniowego*, i w zmyśle tym, uznawanym przez wielu fizyologów, odnajduje pierwiastki *woli*.

Tyle co do pierwszego twierdzenia Naville'a. Drugie jest jeszcze prostsze, boć nie byłoby ani światła, ani ciepła, ani zapachu lub smaku, gdyby nie było istot wrażliwych na odczuwanie tych czynników; istniałyby tylko ruchy, które są fizycznymi warunkami istnienia uczuć i wrażeń. Można więc twierdzić, że nie znalibyśmy drugorzędnych własności materji, gdyby nie wrażliwość, ta, po woli, druga własność ducha, ujawniającego się w poznawaniu martwej przyrody.

Trzecia teza, o niezbędności inteligencji do poznania martwej przyrody, ma dość głębokie znaczenie, pomimo pozornej prostoty. Rozbierzemy więc ją nieco bliżej, idąc za biegiem myśli p. Naville'a:

„Człowiek spostrzega i czuje; uczony pragnie zdać sobie sprawę z przedmiotów swych spostrzeżeń i z przyczyn wrażeń; fizyk pragnie objaśnić zjawiska, odszukując ich prawa. Prawa są pojęciami, należącymi całkowicie do inteligencji. Z łatwością można zrozumieć, że gdyby nie było istot wrażliwych, nie byłoby i zjawisk, w które wchodzi pierwiastek wrażliwości. O wiele trudniejszą do zrozumienia jest teza, że nie byłoby praw przyrody, gdyby nie było istot inteligentnych, zdolnych do ich pojęcia. A przecież tak jest.

„Przypuśćmy, że istnieje tylko sam świat materialny: czyż w takim razie gwiazdy nie uległyby prawu ciężenia? Wszak czy prawo zostało pomysłane, czy nie, rzeczy wszystkie pozostałyby chyba takimi, jakimi są? Tak się zdaje na pozór, lecz głębsze zastanowienie daje inną odpowiedź. Samo użycie terminów: *takimi*, *jakiemi* są — mieści już w sobie pojęcie stosunku rzeczy samych do istot, które o nich myślą. Usunąwszy wszelką inteligencję rzeczywistą lub możliwą, nie usuniemy rzeczy, które pozostaną i będą, ale nie będą *takimi*, nie można będzie o nich powiedzieć, że ulegają jakiemuś porządkowi, gdyż żaden duch porządku tego nie określi. Pojęcie *prawa*, zginie tak samo, jak ginie pojęcie światła wraz ze zniknięciem istot wrażliwych na światło. Dowodzenia te są słuszne, chociaż trudne do zrozumienia, gdyż chcąc je pojąć dokładnie, należy myśleć o takim stanie rzeczy, w którym żadna myśl nie istnieje.“

W ten sposób dowodzi Naville swej trzeciej tezy i tak ją pojmuje. W końcu rozprawy waleczy ze sceptycyzmem, którego źródło upatruje w niemożności określenia związku pomiędzy myślą i przedmiotami rzeczywistymi, gdyż dla określenia tego związku trzeba by koniecznie, aby myśl wyszła sama z siebie i porównała się z czemś, co nią nie jest — co jest niemożliwym.

Tę argumentację, mającą pozory słuszności, Naville obala twierdząc:

1) Że myśl nie jest zupełnie obiektywną, lecz ma swoje prawa, czego dowodem matematyka. Myląc się w rachunku, myślimy błędnie; lecz błąd ten jest tylko naszym, a nie błędem matematyki, poprawiamy go na zasadzie oczywistości lub dowodzenia, a więc istnieją w naszym umyśle prawidła, które nie są ani *nam*, ani *naszemi* (boć przecie *my* możemy się *mylić*, a matematyka się nie myli), lecz stanowią własność ogólną inteligencji.

2) Że wrażliwość zmysłów naszych ma także swoje prawa, bo każdy zdrowy człowiek umie odróżnić wrażenie obiektywne od subiektywnego (hallucynacji i sennego marzenia), równie jak każdy w pełni władz umysłowych może znaleźć i poznać błąd w swoim rachunku. Istnieje więc prawidłowy związek między naszą wrażliwością

a rzeczywiście istniejącymi faktami; związek ten dokładnie stwierdza fizyka, i dzisiaj nikt chyba nie zechce naśladować legendarnego Pyrrhona sceptyka, który do tego stopnia zmysłom swoim nie wierzył, iż uczniowie zmuszeni byli ustawicznie go otaczać i bronić, aby nie wpadł w przepaść lub nie dał się stratować rozhukanym koniom.

Lecz jeszcze jedną prawdę rozwija i stwierdza silniej fizyka, a mianowicie tę, że zjawiska świata materialnego zachodzą wedle praw inteligencji (ducha), a prawdę tę wyprowadzamy z całego pięknego rozwoju fizyki matematycznej. Jeśli tylko obserwacje są dokładne i teoria słuszną, wtedy zawsze wnioski wysnute drogą matematyczną, jedynie na zasadzie praw inteligencji — sprawdza nam rzeczywistość.

Sumując razem wszystko, cośmy powiedzieli, i wszystko, co nam wiedza fizyczna daje, możemy twierdzić, że:

- 1) ruchem wszechświata kierują prawa odpowiednie prawom myśli;
- 2) siła wszechświata, albo inaczej potęga poruszająca go, jest stałą i niezmienną co do ilości prawa zachowania energii;
- 3) niezliczona ilość zjawisk jest wywołana przez połączenie bardzo niewielu przyczyn.

Są to trzy niezaprzeczalne wyniki teorii, badającej świat zjawisk. Gdybyśmy zechcieli postąpić jeszcze krok dalej i wznieść się do pojęć więcej ogólnych, w takim razie otrzymamy następujące tezy:

- 1) Pierwotna przyczyna działa wedle praw rozumu (inteligencji).
- 2) Działanie jej wywołuje niezliczone skutki niewielką ilością środków.

Lecz te własne przymioty są cechami mądrości. Wniosek powyższy, jak widzimy, stoi daleko od zasadniczych tez materializmu, a doprowadza do sumienne badania danych fizyki współczesnej i jej stosunku do umysłu ludzkiego.

Taką jest w głównych rysach treść pracy p. E. Naville'a.

J. J. T.

## MALARSTWO.

O uszy nasze odbił się niedawno zarzut, stawiany Siemiradzkiemu z tego powodu, że ugrzązł w starożytnym Rzymie, że nie maluje rzeczy polskich. Podobne oskarżenia nie mają w sobie ani odrobiny słuszności. Artysta to tylko dobrze stworzy, co odczuje; nie jest szkolnym żakiem, aby pracował na zadany temat. Siemiradzki nadto wiele chyba dał dowodów uczuć obywatelskich, aby potrzeba było go zapędzać do narodowej pańszczyzny. Śmiało można powiedzieć, że społeczeństwo nasze więcej od niego wzięło, aniżeli mu dało. Czegoż więc chcą? Aby malował może wąsate twarze, aby zamiast *Tańca wśród mieczów*, przedstawiał kuligi, albo na wzór niektórych realistów kochał się w błocie, szarudze i niechlujstwie małych miasteczek? Czyż nie lepiej, że jest w naszej sztuce przedstawicielem ogólnoludzkiego pierwiastku; że wskrzesza świat klasyczny, który dzisiaj jeszcze nie stracił powabu młodości? Zaprawdę można oddać całe tuziny brudnych i posepnych płócien wielu zwolenników „Stimmungu“ za *Wyposażenie poobiedni patrycjusza rzymskiego*, będący obecnie główną ozdobą naszego artystycznego salonu. Niewielki ten obrazek zwyczajna widza odrzuca. Widzimy tu nieporównanie malowniczy taras pałacu rzymskiego magnata, zbudowanego na stoku pochylego wapiennego wzgórza. W dali błyszczą świetnie portyki i ściany pięknego gmachu, rostacza się malowniczy dziedziniec, skąpany w blasku słonecznym.

Trzeba widzieć obraz, aby mieć pojęcie o wdzięku i wspaniałości tej siedziby rzymskiego magnata. Na przedzie, u podnóża wielkiego pomnika, okrytego płaskorzeźbami, spoczywa na ławie senator, któremu piękna dziewczyna leje wino do czary. Obok niego rozsiadł się jakiś retor, czy poeta, który zapewne chce możnemu protektorowi uprzyjemnić chwilę czytaniem, gdyż obok niego na ławie spoczywa zwój greckich poezji Anakreonta.

Daremnie retor z miną pieczeniara stroi twarz uśmiechem pochlebczym; daremnie słodkie folerno toczy się do czary magnata; drzemia jego posepny, ponury a w głowie drzemią nie wesołe myśli. Kto wie, może wyciągając rękę po czarę, myśli o tem, czy za chwilę nie stawi się groźny posłaniec cezara, głaszając wyrok okrutny, który go zmusi w wannie podciąć sobie żyły? Na boku numidyjski niewolnik, trzymając skrzynkę ze zwojami rękopisów, czeka pokornie rozkazów swego pana. Na główną grupę rzuca swe pogodne blaski słońce, przedzierające się przez liście granatu.

Wszystkie te postacie traktowane są tedy znakomicie, a głowy senatora, pieczeniara i niewolnika pełne wyrazu i malowane daleko piękniej, aniżeli w innych mniejszych obrazach artysty. Spotykamy tu wprawdzie znane motywy i owo słońce padające przez liście, owe wilgoście w cieniach i mchy na murach, w których się Siemiradzki lubuje; ale nie krzywdzi to wdzięku całości, która jest tak piękna, tak skończona, że należy do prawdziwych klejnotów sztuki.

Mile wrażenie sprawia także mały krajobraz tegoż artysty, będący powtórzeniem motywu pejzażowego, pięknej sielanki *Za przykładem bogów*. I tutaj mamy rozkoszny gaj pełen wiosennego cieniu, oraz piękną cysternę, nad którą wznosi się posąg gibkiego Apolina. Patrząc na tę ustron, chciałbyś poczerpnąć wody świeżej aprzejrzystej, spocząć na chwilę w sennej zadumie u stóp boga poezji.

Z dziedziny krajoobrazowej godnym jest zaznaczenia na wystawie także p. Świeszewskiego widok *Po deszczu przed zachodem słońca*, w którym artyście chodziło o przeprowadzenie trudnego motywu oświetlenia. Bogate snopy światła przedzierają się tu z po za odległych grup drzew, złocąc środek pięknego widoku, nie dosięgając jednak części na pierwszym planie umieszczonych. Powietrze, spieczone parą i światłem, gorące i pełne drgających blasków. Znać tu trochę zbytne uganianie się za efektami jaskrawej iluminacji, światło zachodzącego słońca jest trochę za silne i nie ma właściwych sobie czerwonych odbłasków; mimo to jednak obraz wabi oko powietrznością, powabem tonu, wdziękiem kolorytu i niezmiernie malowniczą grą efektów światła.

Dobrymi szczegółami kompozycji odznacza się p. Piwnickiego *Przeprawa Lisowczyków przez Ren*, pomysłana ruchliwie i oryginalnie, a w tonie kolorytu okazuje studia nad dawnymi mistrzami. Grupa płynących przez rzekę „elearów polskich“ — jak ich nazywa ksiądz Dębolecki — dobrze uwydatnia bezładną a swobodną ruchawkę gromadki męźnych awanturników i łupieżców. Wśród portretów zwraca uwagę piękna praca p. Horowitza, pełna delikatności i elegancji, oraz p. Millera wizerunek młodej artystki dramatycznej panny Rapańskiej, bardzo wdzięczny w układzie, pełen życia i podobieństwa.

Na wystawie p. Krywulca, odznaczającej się najwyższym ruchem nowości artystycznych, pojawiło się także kilka ważniejszych dzieł sztuki, a pomiędzy niemi wielki obraz Lipińskiego *Przed procesją*, przedstawiający malowniczy orszak pobożny przed tylną nawą kościoła św. Barbary w Krakowie. Poważna i bogata architektura grodu Jagiellonów pod pę-

dzlem artysty ukazała się w całym swoim uroczystym powabie. Mury, imponujące harmonią linii i bogactwem ozdób, wznoszą się poważnie, a najmniejszy szczegół ich, najmniejszy załom lub wyszczerbienie artysta oddał z wielką sumiennością.

Przed kościołem widzimy gotujący się do procesji orszak dziewięć w bieli, szpitalników z trupiami głowami, kontuszowców, wieśniaków i innych typowych figur krakowskich.

Orszak ten w układzie prawdziwej swobody uderza oko świąteczną pstrociną strojów i nagromadzeniem różnorodnych postaci. Sama natura tematu sprawia, że artysta nie skupił uwagi na jednej lub drugiej grupie, gdyż chodziło mu tylko o malowniczość ogólną, oddanie różnorodnego tłumu. co jednak nie przeszkadzało bynajmniej starannie namalować każdą figurę.

Niema tu jednolitego skupienia, ale ruch różnorodny i pełen rozmaitości. Ogół sceny przedstawia się bardzo pięknie, uroczyste a pogodnie. Artysta z widoczną miłością malował mury starożytnego grodu, roztoczył wielki powab barw nęcących i jasnych i nacechował każdy szczegół, każdą postać wielką artystyczną skończonością. Lewej tylko stronie obrazu zarzucić można pewien brak powietrznego oddalenia; całość przedstawia się jako dzieło sztuki piękne, poważne, wykonane sumiennie, z bogatym zasobem techniki a wśród obrazów p. Lipińskiego niewątpliwie pierwsze zajmuje miejsce.

Niepospolite zalety posiada także, zwłaszcza pod względem malarskim, *Spowiedź Robaka*, przedstawiająca przesłizną scenę z największego arcydzieła literatury naszej. Wybór tematu jest trudny, gdyż niepodobna pędzlem wyrazić całej patetyczności tego momentu przedśmiertnej skruchy i wyznania. Artysta, jak się zdaje, wybrał tę chwilę, gdy na słowo Robaka. „Jam jest Jacek Soplica,“ klucznik:

Pobladał, pochylił się i całą połową  
Wygięty naprzód, stanął, zwiśł na jednej nodze  
Jak głaz, lecący z góry, zatrzymany w drodze.  
Oczy otwierał, usta szeroko rozszerzał,  
Groząc białemi zębami a wąsy najeżał...

Oczywiście trudno pędzlem wyrazić ten obraz, a nawet trzymając się dosłownie opisu, artysta mógłby wpaść w zbytnią jaskrawość. Niezależnie jednak od tego ani ruch, ani wyraz figury klucznika nie maluje tego wrażenia i niema naturalności zwłaszcza w układzie rąk. Piękną za to jest figura Robaka w białej koszuli, oblanej światłem jaskrawem gromnicy, z twarzą pełną wyrazu, chociaż za mało znamionującą bliskość śmierci. Postać siedzącego na łóżku sędziego bardzo typowa, chociaż nadto spokojna; gdyż jakkolwiek zna on treść opowieści, jednak sama uroczystość chwili powinna się odbić na jego twarzy. Jeżeli jednak kompozycy i pojęciu przedmiotu można stawiać pewne zarzuty, to strona czysto malarska zasługuje na bezwarunkowe pochwały i zapełnia obrazowi niepospolitą wartość. Postać Robaka w koszuli, pomimo zbytniego spotęgowania światła, wychodzi wspaniale, koloryt ogólny jest bardzo piękny, rozkład światłocienia ponętny i efektowny, a w oddaniu akcesoriów artysta wykazał znaczną biegłość, nie grzesząc bynajmniej zbytaniem ich nagromadzeniem, jak w obrazie przedstawiającym *Długosza przy pracy*. Bogactwo pięknych szczegółów kojarzy się tu harmonijnie, wykazując postępowy rozwój talentu artysty.

Bardzo pięknie malowaną jest *Martwa natura* p. Piwnickiego, przedstawiająca stół uczonego średniowiecznego, zawalony mnóstwem przyborów. Przedmiot sam tu suchy, ale szczegóły oddane wybornie, zwłaszcza lewa część ksiąg i dyplomów, leżących na stole.

Z przyjemnością spotykamy się tutaj z pracami kobiecego pędzla, nacechowanymi talentem i elegancją. Z pomiędzy kilku



ładnych robót p. Maryi Dułęba wyróżnia się przesliczna główka dziewczęca, malowana z czysto niewieściem wdziękiem, niewylączającym bynajmniej siły i piękności kolorytu. Pierwszy raz także mieliśmy sposobność poznać pędzel p. Bardzkiej, której portret damy a zwłaszcza studium mężczyzny posiada dużo zalet, szczególnie pod względem miękkości w karnacji i akcesoryach, wróżąc artystce pomyślną przyszłość na ponętnej niwie sztuki barw.

Roboty akwarelowe p. Tondosa nie ustępują dawniejszym jego pracom pod względem precyzji i siły kolorytu, a przedstawiają bardzo ciekawe widoki architektoniczne Krakowa, pomiędzy którymi szczególnie piękną jest kruchta kościoła ś.tej Barbary, namalowana prawdziwie po mistrzowsku. Wartość ciekawego wspomnienia posiada stary szkic Michałowskiego *Jędrzeć na koniu*, nacechowany wielką śmiałością pędzla, która może być wzorem dla niektórych współczesnych malarzy, lubiących wymuskaną konwencyonalność.

S. K.

## W SPRAWIE HIPOTEK WŁOŚCIAŃSKICH.

Panie Redaktorze! Jedyne na skutek wyraźnego wezwania „Czytelnika Prawdy,” zamieszczonego w nr. 25, raz jeszcze narzucam się z mojem pisaniem, pragnąc wyjaśnić, dla czego poprzednio nie wzmiankowałem o Postanowieniu Kom. Urząd. z d. 18 sierpnia 1868 r. i o związanym z niem reskrypcie Kom. Spraw. z d. 7 listopada t. r., według których uregulowanie nieruchomości włościańskich było niedozwolone, lecz utrzymywałem, iż regulacja hipoteczna nieruchomości tego rodzaju, mniejszych od 90 morgów, może mieć miejsce i jest dopuszczalną w hipotekach powiatowych.

Do przekonania tego doszedłem drogą następującego rozumowania. Na zasadzie ukazów z d. 19 lutego (2 marca) 1864 r. grunta, będące w posiadaniu włościan, to jest osady włościańskie (art. 1) przeszły na zupełną ich własność, właściciele zaś dóbr za grunta nadane włościanom otrzymali wynagrodzenie likwidacyjne. Przy wypłacie tego wynagrodzenia, według art. 32 lit. b i d Przepisów z d. 4 (16) sierpnia 1865 r. wydział hipoteczny został zobowiązany bezzwłocznie wykreślić z wykazu hipotecznego grunta włościańskie, które przeszły na własność włościan, z działu zaś III wykazu hipotecznego wpisy dotyczące praw włościan do gruntów na własność ich przeszłych, jeżeli wpisy takie istniały. Jednocześnie z wykreśleniem wpisów, dotyczących praw włościan, stosownie do art. 33 l. p. powinny być wykreślone z hipoteki dóbr dziedzica długi i zobowiązania włościan względem osób trzecich, na wspomnianych prawach włościan zabezpieczone, i w takim razie władze hipoteczne zostały zobowiązane założyć oddzielne hipoteki okręgowe (dzisiaj powiatowe), dla tych osad włościańskich, które były długami obciążone. Stąd powstały osady włościańskie dwójakiego rodzaju: jedne, do których już poprzednio włościanie mieli mniej lub więcej zupełnie prawo własności, drugie stanowiące, własność nowo utworzoną. Z pomiędzy pierwszych, jedne były obciążone długami, i dla tych nakazane zostało bezzwłoczne, niejako przymusowe uregulowanie hipoteki okręgowej, drugie były wolne od długów i względem tych ostatnich, równie jak względem nowo utworzonej własności włościańskiej, nic wyraźnie nie postanowiono. Według nietylko mojego zdania, lecz i innych prawników, o czem przekonywa powołany przez „Czytelnika Prawdy,” ustęp z Podręcznika dla Sędziów Pokoju, wyda-

ny staraniem profesora Miklaszewskiego, takie przemileczenie prawa bynajmniej nie zabraniało i nie tamowało możności regulowania hipotecznego osad włościańskich, nieobciążonych długami, lecz poddawało też osady pod art. 11 i 12 ust. hip. z 1825 r. i instr. hipotecznej okręgowej z d. 22 grudnia t. r., to jest, że regulacja hipoteczna każdej szczególnej nieruchomości ma być przedsięwzięta, gdy o to wniesie żądanie strona interesowana. To, czego prawo nie zabrania, jest dozwolonem, i rzeczywiście nie było i nie ma żadnej prawnej i logicznej przyczyny twierdzić, iż dobrodziejstwo uregulowania hipotecznego nieruchomości, nakazane dłużnikom w interesie wierzycieli, jest niedostępne dla właścicieli nieobciążonych. Takie było położenie rzeczy prawne do miesiąca sierpnia 1868 r. w którym z powodu wystąpienia dyrektora głównego b. Kom. Spraw., Komitet Urząd. uznał, iż zaprowadzenie hipotek dla wszystkich osad włościańskich jest przedwczesne, zatem Kom. Urząd. nie zaprzeczył istnienia prawa, pozwalającego włościanom hipotecznie regulować tytuł własności, tylko uznał za właściwe wstrzymać jego wykonanie. Nie będą się zastanawiał ani nad prawnością tego postanowienia, zawieszającego ogromną liczbę drobnych właścicieli ziemskich w prawie korzystania z pewnej części praw cywilnych, wspólnych wszystkim mieszkańcom, ani nad pobudkami, jakimi kierował się Komitet Urząd. przy wydaniu wzmiankowanego postanowienia; dosyć, iż zapadło i że należało się mu poddać. Atoli zachodzi z kolei pytanie, do jakiego czasu trwało to położenie, niezgodne z art. 33 przepisów z 1865 r. i z ustawą hipoteczną z 1875 r.? Mniemam, iż milczącym sposobem zostało zmienione już w art. 2 prawa z d. 12 lipca 1869 r. o udzielaniu nowych pożyczek przez Towarzystwo Kredytowe Ziemskie, skoro czytamy w nim: „iż pożyczki będą udzielane także na posiadłości ziemskie, mające okręgowe hipoteki, oraz na osady włościańskie, a to podług przepisów, jakie niezwłocznie będą wydane.“ Ponieważ podstawą pożyczki Tow. Kredyt. jest hipoteka, skoro więc pożyczki miały być, w zasadzie, udzielane i na osady włościańskie, przestrzeni mniejszej niż 90 morgów, to przedewszystkiem osady te powinny mieć hipotekę uregulowaną. Ponieważ dalej, prawo z 1869 r. nie postanowiło, że pożyczki będą udzielane wyłącznie na osady włościańskie, już obciążone długami, i mające tem samem przymusowo niejako uregulowaną hipotekę powiatową, przeto wyprowadziłem stąd wniosek, iż dobrodziejstwo tych pożyczek rozciąga się także do osad włościańskich wolnych od długów, które to osady, aby mogły dojść do pożyczki, muszą pierwej postarać się o uregulowanie hipoteczne własności; czyli, że obok nowego prawa, dawniejsze zawieszenie korzystania z ustawy hipotecznej musiało ustać, i dla tego poprzednio nie wspominałem o tem postanowieniu Kom. Urząd. czasowo tylko istniejącem, według mego zdania, którego nikomu nie narzucam i nie narzucam. Brak oddzielnych przepisów o udzielaniu pożyczek Tow. Kredyt. na osady włościańskie, mniejsze od 90 morgów, mające hipotekę powiatową, w niczem nie zmienia mego twierdzenia, że te mniejsze osady mogą domagać się hipotecznej regulacji zgodnie z ustawą hipoteczną z 1825 r. i instr. z d. 22 grudnia 1825 r., dotąd obowiązująca, w której jest wskazany cały sposób postępowania przy regulacji pomniejszych własności w hipotekach powiatowych.

Po wytłomaczeniu się tym sposobem, przed „Czytelnikiem Prawdy,” jaką drogą doszedłem do wniosków poprzednio przedstawionych, żałuję mocno, że popełniłem błąd publicznego objawienia mojego zdania, że będąc prawnikiem z powołania i zamiłowania nauki prawa, oraz, że jako tako

obeznany z obowiązującym u nas prawem cywilnem, poważylem się napisać kilka wierszy w przedmiocie nie zupełnie mi obcym, wywołałem bowiem namiętną i zapalczą odpowiedź w *Tygodniku*, przysłany mi łaskawie przez kogoś z Piotrkowa za pośrednictwem redakcyi *Gazety Sądowej*. Kto miał cierpliwość przeczytać poprzedni mój artykuł, mógł przekonać się, że nie dotknąłem niczyjej osobistości, nikomu osobiście, lecz jedynie ogółowi naszego społeczeństwa przypisywałem wogóle małą znajomość prawa, niczyich projektów nie krytykowałem, podniosłem tylko pytanie prawne: czy osady włościańskie mogą żądać regulacji według obecnie istniejących przepisów? Skądże więc taka drażliwość? Przywykłem szanować każde zdanie, choćby wprost przeciwne mojemu, gdy pochodzi z głębokiego przekonania; ale poważna rozprawa, pożyteczne starcie się zdań jest wtedy tylko możliwe, gdy spierający się poprzestają na stawianiu i wyjaśnieniu swoich dowodów. Gdy zamiast tego, jedna strona występuje do walki z frazesami, docinkami, dotyka osobistości, przyczepiając do niej epitety, w takim razie drugiej — pozostaje tylko... zamilczeć.

Wł. Nowakowski.

Rozprawy w tym przedmiocie zamykam powyższym głosem szan. autora.

## LIBERUM VETO.

Ostatnie pożegnanie Giza stylem „turfy.“ — Prawo nadużywania języka. — Szczyban dziecka jako środek dla zbudzenia litości. — Cherub księgi zażaleń. — Żarty. — Stuletnia rocznica urodzin Stephensona. — Kto wynalazł kolej w przekonaniu jej służby. — Jednodniowy spis ludności. — Rozmowa członka z kupcową. — Majówka artystyczna. — Jak się nasi mężczyźni bawią i ich *Pieśń nad pieśniami*. — Konkurs na książkę ludową. — Doświadczenia p. Donato. — Niewiedomość i lekceważenie. — Odpowiedź p. Rakowskiemu.

Ostatnie pożegnanie, ostatni calus należy się jeszcze tegorocznym bohaterom wyścigowego toru. Nadewszystko zaś szlachetnemu Gizo, który, „jest na schyłku kariery,” bo już „skończył się.“ O ty więc, — niech mi tu wolno będzie użyć klasycznej mowy *Kuryera Warszawskiego* — który mając „dużo serca, pewno już po raz ostatni pruleś dużem swem kopytem szary tor warszawski;“ ty, który biegnąc z Carrą i Ajaxem „zrazu flegmatycznie, „falowałeś z gracją, ale bez temperamentu;“ ty, który byłeś tylokrotnie „respektowany“ i „dawałeś na nerwy“ — bądź zdrow i ponies z sobą naszą wdzięczność do stajni. Wdzięczność nietylko za to, żeś okazał „dużo serca“ i „dawał nam na nerwy,“ ale przede-wszystkie za to, żeś język nasz wzbogacił kilkoma bąbelkami, które stanowić będą prawdziwą jego ozdobę. Np.: „falować bez temperamentu!“ — jak to brzmi pięknie, jak nam takich wyrażen potrzebna w chwili, kiedy mowa nasza, nasiąkając obcymi pierwiastkami, przestała być często dla nas samych zrozumiałą. Niedawno zatkąłem sobie uszy wata, żeby nie ogłuchnąć od krzyku, podniesionego w prasie naszej na jakiegoś wydawcę książeczki religijnej, który pozwolił sobie drobnego odstępstwa od zasad wiary katolickiej; językową jednak skórę wolno nam naciągać na najrozmaitsze obojętne kopyta, i to rzemieślnio mniej szkodzi naszej narodowości, niż najłżejsza podejrzliwość względem cudotwórczej mocy ś. go Pafnucego. Własność daje posiadaczowi prawonietylko używania, ale także nadużywania jej. Dla czegóżbyśmy więc mieli pozbawiać się prawa nietylko używania, ale i nadużywania naszej mowy? Tylko innym nie wolno jej kaleczyć. Słyszeliście

zapewnie czytelnicy o zebračkach, które szczypiąc trzymane na ręku dzieci, pobudzają ich krzykiem przechodniów do litości. Ten sposób budzenia miłosierdzia przypomina mi się zawsze, ile razy widzę pisma nasze, które same kaleczą język polski a błagają nad nim zmiłowania.

Nie też dziwnego, że nie zlitował się nad nim zawiadowca jakiejś stacyi kolejowej, który nie pozwolił p. Popielowi wpisać zażalenia po polsku. Charakterystyczne to zdarzenie opowiedziały już wszystkie prawie dzienniki za *Gazetą Rolniczą*; mnie więc pozostaje tylko ogólna nad niem uwaga. Mianowicie przekonalniśmy się raz jeszcze, że lepiej zawsze mieć sprawę z głową niż z nogami. Ministerium Komunikacyi bowiem okazało daleko więcej grzeczności niż p. zawiadowca, gdyż w każdym wagonie przybite są urzędowe ogłoszenia o księdze zażaleń po rosyjsku i po polsku. Jeżeli zaś p. zawiadowca tego nie dostrzegł, to niech jeden dzień oszczędzi sobie z polowania na bekasy i zbada filologiczną stronę przepisów ministerjalnych. Pomijając nawet wszelkie względy polityczne, trudno zrozumieć polonożerstwo tych panów wobec prawdziwej, niedanej nieznajomości języka urzędowego. Język ten w szkołach, sądach, administracyi zaprowadzony jest dopiero od lat kilkunastu, skąd więc starsze pokolenia nauczyć go się mogły? Piszący te słowa skończył gimnazjum polskie, uniwersytet polski, w Rosyi nigdy nie był, rosyjan zaledwie kilku znał, gdyby go więc studia nie poznałomiły z językiem rosyjskim, czyż mógłby dogodzić panu zawiadowcy? I gdyby często ci stróże prawdomówności sami rozporządzali dostatecznym zasobem lingwistycznym!

Nauczony doświadczeniem sądę, że gdyby owego p. zawiadowcę wzięto na egzamin, może nie umiałby podpisać się ortograficznie po rosyjsku. Największa bieda w tem, że ile razy o po dobnym wypadku doniosę listownie pewnemu zacnemu rosyjaninowi, on mi zawsze odpowiada (wystaw sobie panie zawiadowco — po polsku!):

„Znam te żarty.“

W Rosyi ludzie, niezdolni do prześladowań narodowościowych, są najmocniej przekonani, że takie wypadki, jak z ową książką zażaleń, to tylko nasze złośliwe żarty.

W chwili gdy gazety nasze opisywały bohaterski czyn p. zawiadowcy kolejowego, Anglia a raczej świat cały obchodził uroczyste stuletnią rocznicę urodzin wielkiego wynalazcy kolei żelaznych — Stephensa. Nieustającym gradem sypały się do jego rodzinnego miasta telegramy z rozmaitych stron kuli ziemskiej, tylko kraj nasz milczał, bo jego zawiadowcy dopilnowywali filologicznych formalności w księgach zażaleń. Nie wiem, czy jaki dyrektor nie dał drutem lub listem znaku swego życia, to pewna, że żadna z naszych dróg żelaznych nie wysłała na uroczystość Stephensa zbiorowego wyrazu swej czci. Zwierzchnikom nie chciało się, a podwładni zapewne sądzą, że wynalazek kolei żelaznych nastąpił w skutek rozporządzenia Zarządu. Gdy więc przypadnie jego jubileusz, odbierze on hold, należny Stephensonowi. Otóż należałoby sprostować tę pomyłkę i wyjaśnić całej służbie kolejowej, że gdyby nie Stephenson, nie byłoby ani Zarządu dróg żelaznych, ani dyrektorów, ani zawiadowców, ani konduktorów. Istnieliby może tylko sami smarowozii, którzy już dawniej byli znani. Ciekawy jestem, czy wobec jubileuszu Giza lub Kiejstuta, którzy „dużem kopytem pruli szary tor warszawski,“ nasi sportsmeni — a jak wykaże zapowiedziany spis ludności mamy ich bardzo wielu — okażą się równie obojętni. Byłaby to czarna niewdzięczność za tyle „serca.“

Spis ów ma się odbyć w końcu bieżącego roku. Pewnego dnia milion komisyi, pod-

komisyi i przeróżnych członków w napadnie wszystkie domy Warszawy i zliczy całkowitą jej ludność. Będzie to więc statystyczna fotografia naszego miasta, zdjęta w jednej chwili. Podobna próba w Berlinie powiodła się niedawno zupełnie; czy powieździe się u nas — rzecz wątpliwa. Wskażę jedną trudność, bardzo poważną. Jak wiadomo, ciemni żydzi mają przesąd, że liczenie dzieci może je urzec. Łatwo więc wyobrazić sobie taką rozmówkę na Wołowej.

*Członek komisyi:* Ile pani masz dzieci?

*Kupcowa:* Ile mi Bóg dał.

*Członek:* To jest ile?

*Kupcowa:* Wszystkie.

*Członek:* Więc, ileż?

*Kupcowa:* Ile urodziłam.

*Członek (zniecierpliwiony):* Ostatecznie, ile? dwoje, troje, czworo?

*Kupcowa:* Dobrze.

*Członek:* Zatem czworo?

*Kupcowa:* Niech będzie.

Członek zapisuje czworo, a tymczasem oporna kupcowa posiada ich ośmioro lub... jedno.

Nie wiemy dotąd, jaki szemat użyty będzie w spisie ludności; jeśli wszakże zamieści a zamieścić musi rubrykę „zwykłe używanego języka“ (*Umgangssprache*) dla oznaczenia narodowości. to sądę, że cyfra Polaków okaże się w Warszawie bardzo małą. Znaczna część Izraelitów zadeklaruje język żydowski, wielu kupców — niemiecki, wszyscy zaś arystokraci — francuski. Skutkiem tego wypadnie np., że w Warszawie znajduje się kilkadziesiąt tysięcy Francuzów, zakończonych na *ski* lub *icz*, którzy tylko przez kucharzów i furmanów połączeni są z Francyi. Komisya będzie zapewne wymagała szczerości; jeśli więc spyta pana hrabiego: jakim językiem zwykle mówi — naturalnie musi on jej odpowiedzieć, że po francusku. Przygotujmy się więc na to, że w pamiętnym dniu spisu ludności stracimy całą warszawską arystokrację na korzyść Francyi, która mimo woli i wiedzy dokona na naszym gruncie poważnego zaboru. Co do mnie, nie boleję wcale nad tą stratą, a nawet niniejszem kwituję Francję z wszelkich pretensyi do „wyznaczonych przez Opatrzność przewodników narodu,“ który ich nierozumiał, bo... mówili po francusku. Podziwiając na wystawie egzotyczne kwiaty inwentarza, słyszałem wielojęzyczny gwar otaczających mnie widzów. Niemiec mówił po niemiecku, Anglik po angielsku, rosyjanin po rosyjsku, skromny nasz obywatel ziemski lub mieszczanin także po swojemu, tylko jeden pan polski wstydził się swego języka nawet wobec bydła i koni. Niechże za to w spisie ludności idzie do rubryki Francuzów. I jemu będzie w niej wygodnie, i nam leż na sercu.

Jak zwykle, malarze nasi i w tym roku urządzili artystyczną majówkę — do Jabłonny. Zabawę tę urozmaicili bardzo złożonym repertuarem. Naprzód podróż statkiem, wędrowna galerja obrazów a raczej karykatur dzieł znanych, teatr, zrzucanie do wody wypchanego manekina, zajęcie z przebranym żydem, który niby kupił bilet do Płocka, odczytywanie sparodyowanych sprawozdań malarskich i t. d., nie wyłączając naturalnie ofiar na ołtarzu Bachusa i nieodłącznych od meżkiego zebrańia hymnów na cześć Wenery. Przyznaję trzeba, że reżyserowie tej zabawy posiadają niezwykle u nas talent organizacyjny i umieją swym dorocznym wycieczkom nadać wdzięk artystyczny.

Lubię bardzo zgromadzenia towarzyskie meżczyzn, o ile one nie są zgromadzeniami samców. Przed kilku dniami przypadek wrzucił mnie w takie wesołe grono. Gwałtu, co tłustych słów omazało języki, nieskrępowane obecnością delikatnych uszu! Młokosik, który ledwo nauczył się rozróżniać rodzaje w gramatyce, moralista, który radby Zolę umieścić w piekle dantejskim pod Judaszem, staruszek, strzegący

czystości cnót rodzinnych, wszyscy na wyścię podbijali wzajemnie swoje cyniczne koncepty. Pod tym względem my, naród „dziwnie obyczajny,“ stanowimy szczególny wyjątek. Zepsuci Francuzi, namiętni Włosi, brutalni Niemcy mogą kilka godzin przepędzić wesoło bez wplatania w swe rozmowy sprośnych nici; tymczasem u nas gdy kilku meżczyzn nagłe się rozśmieję, można być prawie pewnym, że ich ubawiła kobieta. Rozmowa o niej jest dla nas prawdziwą *Pieśnią nad pieśniami* — naturalnie w znaczeniu hejnowskiem. To też można by wyznaczyć konkurs na wynalezienie takiego sposobu zabawy meżczyzn, któryby wyłączył kobietę — a przy tym można być pewnym, że nikt nagrody nie otrzyma.

Tak samo, jak w konkursie na książkę ludową, który się nie udał i który ogłoszony został przez p. W. Dobieckiego ponownie. Rezultat ten łatwo było przewidzieć, nie ze względu na trudne wymagania, ale na nieznaną ludu i obojętność w tych sferach, które maczają swe pióra w autorskim kałamarzu. Dotąd nauczyliśmy się tylko jednej nuty, którą jak wyuczone kossy ciągle powtarzamy; mianowicie, że do chłopca trzeba przemawiać pobożnie. Więc przemawiamy; ale gdy trzeba w tę pobożną łupinę włożyć jakieś pożywne ziarno, apostołstwo nasze nie ma nic wpogotowiu. To też konkurs p. Dobieckiego, jeżeli nie uwieńczy jakichś „dobrych chęci,“ będzie niezawodnie czekał, dopóki widzialna obecnie kometa nie położy końca światu i jego daremny rojeniom. Chyba wyręczy nas p. Lucylla, magnetyzowana przez p. Donato. Ona, która okazuje takie cuda w śnie hypnotycznym i kataleptycznym, powiedziała by niezawodnie naszym popularyzatorom, jaką być winna książka dla ludu, a gdyby usilnie poprosi, wytłomaczyłaby niezawodnie wątplięcym kapłanom Eskulapa, że nie wszystko to jest oszustwem, co jest zagadką. Kilku z nich podobno zdecydowało najpoważniej, że „nauka,“ bez ubliżenia sobie, nie może się zastanawiać nad takimi hecami. A ja sądziłem, że niema w świecie takiego drobiazgu, który byłby niegodnym zastanowienia nauki. Zbyt lubimy machać lekceważąco ręką. Lepiej powiedzmy szczerze: p. Donato złapał nas niedostatecznie przygotowanych do krytycznego ocenienia jego doświadczeń. Wiemy coś z Heidenheina, Preyera i innych, ale samodzielnych badań nie robiliśmy. Wierzymy w magnetyzm zwierzęcy, w stany hypnotyczne, somnambuliczne, kataleptyczne, ale nie jesteśmy pewni, czy objawy wywoływane przez p. Donata w organizmie p. Lucylli są naturalne, czy też sztuczne. Obawiając się więc wpadnięcia w potrzask, mówimy: e, głupstwo! Jest to i bezpieczniejsze i poważniejsze, niż uznać fakt i nie umieć go wytłomaczyć. Co do nas, spełniliśmy już po części nasz obowiązek względem czytelników pomieszczeniem w *Prawdzie* rozprawy znakomitego uczzonego niemieckiego o hypnotyzmie; dopełniające objaśnienie doświadczeń p. Donata podamy później.

P. Lindley (mimowoli) zamagnetyzował swym projektem kanalizacyjnym niejakiego p. Rakowskiego w Ameryce, który meżczył się w przykrym śnie i czekał kiwnięcia, ażeby przybyć do Warszawy i uszczęśliwić ją kanalizacją własnego, lepszego pomysłu. W tym celu zasypywał redakcyę warszawskie listami, wykazującymi słabość projektu inżyniera angielskiego i niegrzeczność magistratu, który nie chciał skorzystać z jego geniuszu. Nareszcie p. Prezydent dmuchnięciem rozbudził p. Rakowskiego i wyjaśnił mu, że nikt nie myśli dla niego ściąć wody. Ponieważ pokrzywdzony i do nas się odwoływał, przesyłam mu więc krótką odpowiedź:

„Projekt Lindleya został doskonale przez specjalistów zbadany. Co zaś do Prezydenta Warszawy, p. Starynkiewicza, jest on tak zacnym człowiekiem, tak sumien-

nym urzędnikiem i posiada tak niezwykle zaufanie miasta, że życzę Panu, ażebyś się podobnym mógł poszczycić.“

*Posel Prawdy.*

## W PERSPEKTYWIE.

Jeżeli nie będzie to usiłowanie bezowocne, jak tyle różnych projektów, wschodzących na naszej urodzajnej pod tym względem niwie, — to Radom przysłuży się krajowi użyteczną i piękną w całym znaczeniu słowa instytucją. Oto w korespondencji do jednego z pism codziennych czytamy: „Dr. Suligowski, lekarz gimnazjum i miasta w Radomiu, wypracował i złożył już władzy projekt ustawy Towarzystwa pomocy dla biednych uczniów. Ustawa sama przez niego bardzo dobrze obmyślana, bo działalność rozwija na całą gubernię, ustanawiając w każdym powiecie na sposób Towarzystwa Osad Rolnych członków, którzy będą upelnomoconieni do zbierania składek i starania się o zdobywanie jak największej liczby uczestników. Oprócz innych kategorii członków, zwyczajni mają opłacać po rublu rocznie. Dr. Suligowski dlatego postanowił niską składkę, że tuszy sobie, iż tak mała suma zachęci ogół do uczestnictwa. Dalej działalność Towarzystwa rozciąga się nie na samych tylko uczniów gimnazjum, ale przenosi się w razie potrzeby i na wychowanców Towarzystwa, znajdujących się po ukończeniu gimnazjum w uniwersytecie lub specjalnym zakładzie naukowym. Nakoniec dr. S. projektuje, aby część funduszu Towarzystwa obracało na kapitał żelazny i aby w razie utworzenia się tego kapitału, nie leżał on bezczynnie w banku, ale przychodził z pomocą biednym właścicielom domów w Radomiu, jako pożyczka, najmniej z procentem 6% rocznie, zahipotekowana na 1-szym nr. nieruchomości. Pożyczki podobne mają być dawane drobnymi sumami.“

Wstrzymujemy się na razie od rozbiórki kwestyi, czy taka kombinacja celów i zakresu działania Towarzystwa jest pomysłem szczęśliwym; czy owe pożyczkowe operacje nie stałyby się z czasem dla głównego zadania instytucyi kulą u nogi. To główne zadanie — pomoc dla uczących się, mając na względzie, życzymy przedewszystkiem, aby ustawa jak najrychlej pozyskała zatwierdzenie.

W korespondencji z której powyższą wiadomość zacytowaliśmy, znajdujemy pewne nieśmiało osłonięte powątpiewanie, oparte na tej zasadzie, że pan S. inicjator Towarzystwa już podobno doznał niejakich przykrości z powodu tej sprawy. Dziwna rzecz! jak pewne nałogi trudne są do wykorzenienia! Wszakże tworzenie towarzystw pomocy naukowej zlecone zostało przez ministerium oświaty, a obywatelstwo, podejmujące zadanie w tym kierunku schodzi się w zasadniczej intencji z wolą naczelnego organu państwowego.

Chyba wola ta silniejszą będzie od upodobania klasyków na partykularzach rozsiałych, którzy niechętnie patrzą na pomoc naukową dla młodzieży.

Niepodobne a jednak prawdziwe. W *Kaliszaninie* czytamy czarno na białym: „Z rozporządzenia wyższej władzy szkolnej zaprenumerowano dla szkoły elementarnej w Kaliszu gazetę *Moskiewskija Wiedomosti*, wydawaną przez pana Katkowa.“ Czy rozporządzenie to obowiązuje i inne szkoły, organ kaliski nie umie powiedzieć. My wątpliwość tę możemy rozwiązać stanowczo: rozporządzenie to nie obowiązuje ani innych szkół, ani szkoły elementarnej kaliskiej, bo jest pro prostu bezprawiem. Jaki związek mają *Mosk. Wiedm.* ze szkołami

elementarnymi? Chyba sympatya dla polityki p. Katkowa ze strony tego pana, który rozporządzenie wydał ma tę nie zagadkową stanowić. Ale w takim razie nie mamy nic przeciwko temu, aby ów pan prenumerował sobie tysiąc egzemplarzy *Mosk. Wiedom.* byle nie „dla szkoły elementarnej“ i nie za tej szkoły fundusze. Nasze szkoły są uboższe od pana Katkowa.

Jak wiadomo, wprowadzono niedawno w wykonanie naukę religii w języku wykładowym polskim. Dotknęło to snać mocno szanowną radę pedagogiczną gimnazjum lubelskiego, postanowiła więc poświęcić logikę dla uratowania chociaż cząsteczki swego ideału. Podniesiono kwetyę: w jakim języku uczniowie mają odmawiać zwyczajowe modlitwy przed i po lekcjach. Wobec przywrócenia języka polskiego względnie do religii w szkole, kwestya ta nie istnieje wcale. Ale rada pedagogiczna wynalazła oryginalną kombinację: jeżeli dzień szkolny rozpoczyna lub kończy nauka religii, modlitwa ma być odmawiana po polsku; jeśli inny przedmiot, — po rosyjsku.

Polecilibyśmy materyał, objęty dziś naszą perspektywą, uwadze prasy rosyjskiej. *SZ.*

## TYDZIEŃ POLITYCZNY.

*Warszawa, d. 22 czerwca.*

Na pozór nic większego nie dzieje się w świecie politycznym, żadna t. zw. „wielka akcja“ nie zakłóca spokoju; a jednakże na porządku dziennym przesuwały się objawy wielkiego znaczenia. Owe *signa temporis* utworzyłyby bardzo długi szereg, gdybyśmy je ściśle wyliczać chcieli. Wymienimy więc tylko dwa zjawiska, będące w tej chwili najwięcej „na czasie:“ stanowiąc rozbrat między narodami francuskim a włoskim, ujawniony tak wyraźnie w rozruchach i demonstracjach ulicznych w obydwóch krajach; powtóre, nowy proces asymilacyjny, doświadczany przez kuryę rzymską na Słowiańszczyźnie pod firmą św. Cyryla i Metodego. Nie tu miejsce szeroko się rozwodzić nad temi rzeczami, które znalazły lub znajdują swój obszerniejszy komentarz na innym miejscu *Prawdy*. Zaznaczymy więc tylko pokrótce stan obecny wymienionych kwestyj, zaczynając od drugiej, jako obchodzącej nas bliżej. Pielgrzymka tedy do Rzymu z krajów słowiańskich, dla podziękowania papieżowi za ustanowienie obowiązkowego dla całego katolickiego kościoła święta Cyryla i Metodego, znajdować się już będzie w całym komplecie na miejscu, gdy pismo nasze wyjdzie z pod prasy. Nie tyle jednak śledzić będziemy za samym zewnętrznym jej przebiegiem, ile za tem, jakie odgłosy wywoła ona w sferach interesowanych z drugiej strony: w Rosyi i w Niemczech. Co do pierwszej, żaden — o ile wiemy — poważniejszy głos nie odezwał się jeszcze z krytyką. Za to w prasie niemieckiej znajduje się ich mnóstwo. Bierzemy do ręki pierwszy lepszy z większych dzienników i oto czytamy: „W Kroacyi i Sławonii, w Bośni i Hercegowinie, w Dalmacji, Istrii, Krainie, Styryi, Morawii, Czechach, Szlązku, Galicyi, w słowiańskich okolicach Węgier, w Bułgarii i Rumunii — wszędzie, gdzie tylko żyją słowianie wyznania katolickiego lub unicy, rozwinęła się agitacja, zbierająca pielgrzymkę do Rzymu, gdzie biskup Diakowaru Stros Mayer, już przygotowyuje przyjęcie. Pielgrzymka ta urządzi się nibyto dla podziękowania papieżowi za to, że ustanowił święto Cyryla i Metodego; właściwie jednak ma na celu skupienie słowian austriackich i sąsiednich i zmanifestowanie panslawizmu katolicko-austriackiego. Nadto

Watykan, będąc wypieranym coraz bardziej z wpływem swoim z Europy zachodniej i środkowej, usiłuje odzyskać stracone korzyści i zarobić co na przetwarzającym się Wschodzie. Niechajże jednak cesi nie zapominają przytem o papieskich stosach husyckich, o strumieniach ich krwi, w której utopiono ich niepodległość; niechajże polacy pamiętają, że do upadku ich głównie przyczyniła się watykańska polityka jezuitów.“ W ten mniej więcej sens przemawiają wszystkie dzienniki tamtejsze; ten jeden głos zanotowaliśmy „na okaz“ — a dodamy od siebie chyba tylko trzecie życzenie: niechajże niemiecy się dowiedzą nareszcie, że największe klęski i krzywdy, jakie kiedykolwiek na słowiańskie ludy spadały, z ich, Niemców pochodziły i pochodzą ręki, one więc przede wszystkim przyczyniają się do tego stanu, który takie pielgrzymki czyni rzeczami, mającemi pewną polityczną doniosłość.

Co do stosunków francusko-włoskich, o których wspomnieliśmy na początku, zdaje się, że stoją one na wysokości bliskiej punktu przesilenia. Fakta takie, jak bójki uliczne, krwawe, zrzucanie herbów, demonstracje przed konsulami i t. p. a wszystko to w rozmiarach bynajmniej nie małych, — nie są naturalnie wypowiedzeniem wojny, ale są bezwarunkowo wypowiedzeniem przyjaźni. Nowy to tylko dowód, że uczucia ludów umieją sobie zawsze zrobić ujście, chociaż je dyplomacya okiełznać usiłuje. To też gdy w parlamencie włoskim minister spraw zagranicznych złożył objaśnienie o liczbie ofiar katastrofy w Marsylii, poseł Damiani, jako interpellant, zawołał: „Jestem z odpowiedzi pana ministra zadowolony i — ogłaszam składkę na rzecz ofiar gościnności francuskiej.“ Ostry ten frazes najlepiej maluje położenie rzeczy.

Po za tem na horyzoncie politycznym mało się ukazuje godnego uwagi. W Bułgarii odbywają się właśnie decydujące wybory, a ks. Milan wrócił do Belgradu. Zapewne jednak w przyszłym tygodniu będziemy wiedzieli, czy ks. Aleksander zostanie i czy ks. Milan otrzyma królewską koronę.

*S. S.*

## KRONIKA BIEŻĄCA.

**Sprawy społeczne.** Posady policmajstrów w miastach powiatowych mają być zniesione, zastąpią ich naczelnicy żandarmerji.

— W Makowie (gub. Łomżyń.) 9 czerwca nastąpiło uroczyste otwarcie straży ogniowej ochotniczej.

— W ministerium oświaty w Petersburgu poruszono kwestyę wydania przeglądu działalności ministerium za ostatnie dwudziestopięcioletcie.

— W Odesie sąd okręgowy zatwierdził zapis Polikarpa Wierzbickiego r. 6,000 na uniwersytet warszawski.

— Ostatni zeszyt *Ruskiej myśli* zawiera artykuł motywowany, wykazujący potrzebę przywrócenia na uniwersytecie warszawskim wykładów w języku polskim.

— *Goń. Urząd.* zapowiada na lipiec r. b. sprzedaż przymusowa dóbr w guberniach Wileńskiej, Kowieńskiej i Grodzieńskiej. Sprzedaż odbywać się będzie w rządzie gubernialnym wileńskim, na zasadzie ukazu 10 (22) grudnia 1865 roku, oraz późniejszych rozporządzeń rozwijających ten ukaz. Według punktu 5-go ogłoszenia, nabywać majątki w prowincjach północno-zachodnich mogą „wszystkie osoby niepolskiego i nieżydowskiego pochodzenia.“ Według punktu 6-go i następnych, „osoby niepolskiego pochodzenia ze wszystkich gubernij Cesarstwa i wszystkich stanów z wyjątkiem żydów,“ otrzymują przy nabywaniu dóbr pewne ulgi, a mianowicie: nie opłacają stempla, mogą zatrzymać na majątku dług instytucji kredytowych, mogą należność opłacać świadectwami wykupnemi i rentą po cenie nominalnej, w pewnych zaś wypadkach otrzymują wyjątkowe prawo pędzenia gorszaki lub pozyskują dziedziczne obywatelstwo honorowe. Na tych zasadach sprzedawać się będzie dwanaście majątków,

z których trzy znajdują się w gubernii Wileńskiej, siedm w Kowieńskiej i dwa w Grodzieńskiej. Z tej liczby tylko niektóre majątki sprzedają się w całości, większa zaś część odprzedaje się w działce na zaspokojenie długów skarbowych i prywatnych; w kilku sprzedaje się tylko 1/24 część majątku. Największe pod względem rozległości są dwa majątki w powiecie Szawelskim mające 523 i 612 dzies.; najmniejsze gospodarstwo dymnionowanego urzędnika wynosi 15 dzies. Najwyższa cena licytacyjna 17,537 rub. oznaczona za majątek Podubisy w Szawelskiem; najniższa 265 rub. W ogóle z pociechą zaznaczyć można, iż sprzedaże majątków z młotka będą tego lata nie tak liczne jak dawniej, kiedy dochodziły czasami do 50-ciu w ciągu półroczna. Warto też zapisać w ogłoszenia *Gonca Urząd.* jeden szczegół dość charakterystyczny. Oto na jednej dzielnicy dóbr Gubowa, należącej do włościanina Obolewicza, na jednej dzielnicy Mazurek należącej do sztabs-kapitana Mazurkiewicza, oraz na jednej dzielnicy Gubowa należącej do rady honorowego Brodowskiego w powiecie Nowoaleksandrowskim, ciąży wspólny dług skarbowy 20,002 rub. 48 kop., a tymczasem wszystkie owe trzy działki ocenione są razem na 1,044 rub. 80 kop. Jakim sposobem coś podobnego stać się mogło? — pyta *Gazeta Warszawska.*

**Przemysł i handel.** Muzeum przemysłowe, po ukończeniu wystawy sztuki zastosowanej do rzemiosł, ma zająć się urządzeniem wystawy robót kobiecych. Kata log wystawy sztuki stosowanej wyszedł z druku.

— Ustawa towarzystwa warszawskiej fabryki wyrobów metalowych pod nazwą *Walkan* została zatwierdzona.

— Akcyza od okowity została podniesiona z kop. 7 na 8 kop.

— Posiedzenie ogólne akcyonaryuszów kolei warszawieńskiej odbyło się 22 czerwca r. b., kolei warszawie-godgoskiej 23 czerwca.

**Nauki.** W Petersburgu założone zostaje Towarzystwo homeopatyi z filiami: w Warszawie, Kijowie, Odesie i Moskwie.

— P. Dygasiński odczyty swoje, w zakładzie p. Mleczko w Warszawie prowadzone, zakończył wykładem *O wodzie.*

— P. Donato, magnetyzer, daje w Ratuszu przedstawienia hipnotyczne i magnetyzerskie z p. Lucylla.

— W czasie przyszłorocznej wystawy w Moskwie mają być urządzone wystawa i kongres balneologiczny.

— Akt uroczysty w szkole technicznej kolei Nadwiślańskiej w Lublinie odbył się 15 czerwca; w szkole technicznej kolei Terespolskiej 24 czerwca.

— Egzamina w Instytucie dróg i komunikacyj w Petersburgu już się ukończyły; patenty otrzymało 95 studentów.

— Towarzystwo ekonomii politycznej w Paryżu w d. 4 czerwca odbyło posiedzenie, którego przedmiotem było: śmierć Littrego, ostatni kongres robotników w Paryżu, kongres stowarzyszenia postępu nauk w Algierze i pogląd na Algeryę.

**Zakłady naukowe i szkoły.** Powzięto w Anglii myśl uczczenia pamięci Stephensona przez założenie zakładu nauk fizycznych pod nazwą *Stephenson Memorial College.*

**Rolnictwo i gospodarstwo wiejskie.** Wyścigi konne tegoroczne w Warszawie odbyły się zwykłym dorocznym porządkiem.

— Okaz wozu Wejcherta, przemówiony na kilku wystawach, pomieszczony został i na ostatniej wystawie rolniczej w Warszawie.

**Literatura polska.** *Merczyng H.* Kołataja i Czackiego Projekt urządzenia gimnazjum Wołyńskiego i wszystkich innych szkół w gub. Wołyńskiej, przyczynek do dziejów szkolnictwa (odbitka z *Rocznika*), Warszawa str. 24.

**Literatura zagraniczna.** W Lipsku wyszły dzieła dramatyczne Murada Effendi (Wernera) zostającego w służbie ottomańskiej, w trzech tomach nakładem T. O. Weigla.

**Prasa polska.** Znowu upadły dwa pisma polskie naukowe: *Przyroda i przemysł*, tygodnik, w Warszawie i *Muzeum* miesięcznik, w Krakowie. Galicya więc znowu nie ma organu poważnego z programem ogólnym.

**Literatura rosyjska.** Władisław M. *Psychologia, issledowanie osnovnych jawlenij duszewnoji žizni*, 2 tomy, Petersburg.

— Wlachopulow D. *Sbornik wsiach program i prawit dla postuplenia w uczebnyja zawedenia.*

— Michajłowski. *Ozercz sowremennago sostojania zagranicnoj narodnoj szkoły.*

— *Kratkij obzor diejatelnosti telegrafnago wiadomstwa i telegrafnaja statistika za 1879 g.*

— *Pocztowaja statistika za 1879 god.*

— Leonard P. *Smuta i jeja nastojaszczaja przicina*, Petersburg, str. 68.

— Nowosielskij N. A. *Socjalnyje woprosy w Rosii*, Petersburg, str. 174.

— Sztorch P. A. *Nasze sostojanie finansow*, Petersburg, str. 48.

— Srezniewskij I. I. *Friulskie stawianie*, Petersburg, str. 58.

**Literatura niemiecka.** W Poznaniu wyszła książka Kurtzman: *Die polnische literatur in Deutschland bibliographisch zusammengestellt.*

**Literatura francuska.** Leroy-Beaulieu, prof. ekonomii politycznej w College de France: *Essai sur la repartition des richesses et sur la tendance à une moindre inegalité des conditions.* W Paryżu. Guillaumin et C.

— L. Vial. *Histoire abrégé des campagnes modernes jusqu'en 1880.*

— Leroy-Beaulieu. *Les Russes. T. I. Les pays et les habitans.* Paris. Hachette.

— Wyszedł świeżo tom szósty dzieła Reclus p. t. *Nouvelle Geographie universelle*, u Hachette'a. Zawiera on opis Rosyi azyatyckiej.

— W Paryżu wyjść ma niebawem nakładem księgarni Plona zbiór szkiców Langelo p. t. *Sur la Reforme au XVI siècle*, oraz dzieło Loira: *Louise de la Vallière et la jeunesse de Louis XIV.*

— Escotte. *L'Angleterre, le pays, les institution, les moeurs*, tłumaczenie z angielskiego przez p. René de Lulursaque. W Paryżu u Dreyfousa.

— Claretie. *Les amours d'un interne.* Paris 1881. Dentu.

— Belot. *Le roi des Grecs.* Paris 1881. Dentu. Tytuł romansu tego polega na grze słów: *Grec* oznacza w żargonie paryskim *szuler.*

— Paul Stapfer. *Etudes sur la litterature française.* Paris 1881. Fischbucher.

**Malarstwo i rzeźba.** Na wystawę Tow. Zachęty Sztuk Pięknych warszawską przybyły między innymi dwa obrazy Siemiradzkiego: *Wyprocynek patrycyusza* i *Krajobraz.*

— Premium do *Tygodnika Powszechnego* za m. b. stanowi drzeworyt słabego rysunku Andriollego p. t. *Konrad Wallenrod.* *Tygodnik Ilustrowany* dał drzeworyt z obrazu Krudowskiego *Powrót z Golgoty.*

**Teatr.** Komedia p. Świdarskiego *Dziwacy* przedstawiona została w tych dniach w Teatrze Belle-Vue w Warszawie.

— Massenet, genialny kompozytor paryzki, autor opery *Król Lahory*, obecnie komponuje dla Opery komicznej nową sztukę mająca za treść *Cierpienia Werthera.*

**Nekrologia.** Salomon Alek. Harft malarz, historyczny angielski zmarł 11 czerwca w wieku lat 91.

**ODPOWIEDZI REDAKCYI.**

*P. Stefanowi K. w Żabnie.* Uwagi Pańskie czytać będziemy chętnie. Co do przytoczonego wyrażenia, jest ono bardzo delikatnem, naturalnie jeżeli zgodzimy się na myśl w niem zawartą; to też nie pojmujemy, dla czego ono Panu przypomniało wykrzyk p. S. Tarnowskiego. Szanowanie cudzych przekonań nie przeszkadza wyrażać własnych. Książka Pypina kosztuje bez przesyłki rs. 1. Wyślemy.

*P. Józefowi R. w Petersburgu.* Nie chcemy ludzić — nigdy Pan tego w piśmie naszym nie znajdziesz. *Prawda* jest organem postępowych zasad, nie zaś piszczałką do wygwizdywania lichych osobistości. Przystań Pan u tożsamiać liberalizm z polemicznym wodzeniem się za cuby. Liberalizm polski powinien wyjść już z okresu bokowania. Dojrzał, więc musi być poważniejszym, ma grunt trwały, więc nie potrzebuje się udziierać, tem bardziej, że konik, na którym przeciw niemu wyjeżdżano, już zdechł.

*P. Br. w Łagowie.* Zalatwiono.

*P. Władysławowi O. w Moczulnie.* Wydawca książek Langego zaginione zeszyty Wam wyśle.

*P. Kaz. Kardasz. w Żmerynce.* Nr. 20 *Prawdy* i zeszyty Langego będą wysłane.

*P. M. Nat. w Petersburgu.* Pierwszą część pracy Pypina wyślemy. Należy się za nią kop. 50, oraz marki

**OGŁOSZENIA.**

Administracja „Fabryki Chemicznej Wyralamia Kości” oraz Fabryk Cukru: „Marga, Lanęta i Izabelin”  
 W WARSZAWIE, ulica Grzybowska Nr. 11,  
 uprasza panów obywateli, gospodarzy i ogrodników, o wczesne zamówienia nawozu chemicznego: palonego miálu kostnego, zwierzęcego, zwanego **spodium**, zaprawianego kwasem siarczanym według analizy chemicznej. Wczesne zamówienie powyższego jest pożądanem w celu uniknienia odmowy z powodu nadmiaru obstalunków.  
 3-1

**KWESTYA POLSKA**  
 W LITERATURZE ROSYJSKIEJ  
**M. Pypina**  
 przekład z rosyjskiego.  
 Cena egzemplarza rs. 1.  
 Dostać można w redakcyi *Prawdy*, oraz za pośrednictwem księgarni.

Prenumeratorzy „PRAWDY” otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.